EPOKA

TYGODNIK

ROK I | Warszawa, 16 października 1932 R. | NR. 3

Walka z bezrobociem

Głos miljonów

Dosyć tej pieśni ponurej

Sumienie dziennikarza

Wielkie niebezpieczeństwo

Apostołowie ekstazy

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Przegląd gospodarczy. Teatr.

AUTORZY: PRAGIEROWA. ROGOWICZ. GROSTERN WIDZ. ŻYCIEŃSKI. BARANOWSKA. MILKIEWICZOWA. WILECKI.

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem. Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

PROGRAM »PARTJI EUROPEJSKIEJ«

Na międzynarodowym zjeździe paneuropejskim, odbytym w Bazylei, postanowiono powołać do życia „Partję Europejską", której program brzmi, jak następuje:

„Celem Partji Europejskiej są Stany Zjednoczone Europy, oparte na pokoju wewnętrznym i zewnętrznym, na postępie gospodarczym i społecznym, na wolności jednostki i narodu. „Partja Europejska" domaga się:

I. *Konfederacji państw europejskich:* a) wzajemnej gwarancji zwierzchności i bezpieczeństwa wszystkich państw europejskich, b) rewizji traktatów pokojowych w celu ustanowienia zupełnej równości praw dla wszystkich państw europejskich, c) europejskiego trybunału federalnego, któryby był obowiązującym sądem polubownym we wszystkich zatargach między - europejskich, d) europejskiego przymierza wojennego, opartego na wspólnym sztabie generalnym i na wspólnem lotnictwie, — a to w celu zapewnienia pokoju i równomiernego rozbrojenia.

II. *Polityki pokojowo - europejskiej:* a) wspólnej polityki pokojowej w stosunku do pozaeuropejskiego świata, b) współpracy między - kontynentalnej, opartej na stowarzyszeniu narodów obejmującem wszystkie ugrupowania państw na świecie, c) serdecznego porozumienia z koroną Brytyjską, d) anulowania wszelkich międzynarodowych długów wojennych, e) neutralności we wszelkich konfliktach między poza-europejskiemi państwami, f) europejskiej doktryny Monroe.

III. *Europejskiej Unji Celnej:* a) stopniowego zniesienia wszelkich ceł, oraz innych przeszkód natury gospodarczej między państwami europejskiemi, b) wspólnej opieki celnej dla rolnictwa i przemysłu europejskiego, c) racjonalnego zorganizowania rynku europejskiego, d) wspólnego korzystania z kolonij europejskich, e) europejskiej unji monetarnej.

IV. *Europejskiej polityki społecznej:* a) zapewnienia minimum utrzymania tym wszystkim, którzy pozbawieni są pracy, b) zwalczenia bezrobocia przez produktywną i solidarną rekonstrukcję gospodarki europejskiej, c) zmniejszenia czasu trwania pracy w stosunku do postępu techniki, d) rad korporacyjnych, gospodarczych, w celu zniesienia walki klas. e) stopniowego doskonalenia i stosowania w praktyce ustaw prawodawstwa społecznego w dziedzinie opieki nad matką, dzieckiem, chorymi i starcami, f) opieki nad tubylcami w kolonjach państw europejskich.

V. *Polityki wolności europejskiej:* a) zabezpieczenia wolności osobistej, własności osobistej i wolności wyznania, b) reformy systemu demokratycznego, przez wzmocnienie autorytetu państwa i trwałości rządów, c) równości praw politycznych, gospodarczych i społecznych kobiety, d) kształcenia talentów i wolności zawodów we wszystkich dziedzinach.

VI. *Narodowościowej polityki europejskiej:* a) pielęgnowania idei narodowych i tradycyj regjonalnych, b) zabezpieczenia wszystkich mniejszości europejskich według przykładu Szwajcarji i Estonji, c) zakazu prowadzenia wszelkiej propagandy nienawiści narodowościowej, społecznej i wyznaniowej, d) odrodzenia idealizmu europejskiego.

Partja Europejska domaga się walki: — z wszelką polityką wojny i zbrojeń, z wszelkiem ciemiężeniem narodowościowem i z międzynarodowem spotwarzaniem, z nędzą i z bezrobociem, z plutokracją i z komunizmem, z korupcją i demagogją!"

SAMOSTANOWIENIE NARODÓW

Potęgę Brytyjskiego Imperjum ugruntowała przezornie przez Anglików stosowana zasada starożytnych Rzymian: „divide et impera". Zasada ta obraca się teraz przeciw samej Anglji. Pobudzeni sukcesem irlandzkich separatystów, podnoszą głowę nacjonaliści szkoccy. Pod przewodnictwem księcia Montrose odbył się w Glasgow wielki wiec międzypartyjny. Wzięli w nim udział przedstawiciele wszystkich szkockich stronnictw politycznych i zgodnie doszli do wniosku, że czas już, by Szkocja odseparowała się od Anglji, by otrzymała Home Rule (samorząd) i odzyskała swój odrębny parlament. Zapewniając koronę brytyjską o swej wierności, mówcy podkreślali, że nie dążą do zupełnej niepodległości i że zadowolą się autonomją.

Znacznie dalej posuwa się w swych żądaniach od czterech lat istniejąca partja Szkockich Narodowców. Zwolennicy jej żądają zupełnego odłączenia Szkocji od Zjednoczonego Królestwa, godząc się wszakże na pozostanie w składzie Brytyjskiego Imperium na prawach dominjalnych, a więc z zachowaniem wolnej ręki w sprawach finansowych i zagranicznych.

MURZYN ZROBIŁ SWOJE

W Rzymie rozegrała się tragedja o sensacyjnym posmaku. Któż nie pamięta Augusta Turatiego, generalnego sekretarza faszystowskiej partji, prawej ręki Mussoliniego, zastępcy naczelnego wodza „czarnych koszul", szefa prasy faszystowskiej? Szczupły, ruchliwy i energiczny, o dużym, charakterystycznym nosie, przemawiał na wielkich zjazdach, przewodniczył radom, nadawał ton polityce, maszerował przed Mussolinim na czele kolumn balilli, atakował zawzięcie na łamach prasy przeciwników faszyzmu. Nazwisko Turatiego figurowało wszędzie obok „il Duce" lub w jego zastępstwie.

Nagle gwiazda sekretarza generalnego Partji poczęła gasnąć. Przed trzema laty prefekt Brecii zarzucił Turatiemu publicznie korupcję. Turati był jeszcze u szczytu sławy — prefekt Brescii został zdegradowany. Po pewnym czasie fama roznosi nowe wieści o niemoralnych wyczynach sekretarza Partji. Oskarżenie podtrzymuje jeden z wybitnych wodzów faszyzmu — Farinacci, zwany „Katonem Italji". Wkrótce Turatiego pozbawiają prawa redagowania „Stampy" , motywując to względami „administracyjnemi". Za obronę Turatiego zawieszone zostało faszystowskie pismo „Impero".

Znów upływa rok. Turatiemu odbierają kierownictwo sekretarjatu faszystowskiej partji. Usłużni „przyjaciele" przysyłają mu... rewolwer. Turati odpowiada, że „takich potraw nie jada". Proponują mu zrzeczenie się mandatu do faszystowskiej rady

generalnej. Turati odpiera propozycję argumentem, że do rady mianowany został dożywotnio.

Wreszcie jeden z numerów „Stampy", tej „Stampy" którą niegdyś Turati redagował, przynosi krótki komunikat, głoszący, że wskutek choroby nerwów August Turati umieszczony został w zakładzie leczniczym. Brzmi to zawsze lepiej, iż „w więzieniu", a jednocześnie doskonale usprawiedliwia wszelkie poprzednie wyczyny niepohamowanego sekretarza Partji.

WOJNA I POKÓJ

Ameryka Południowa nie złożyła swej ofiary krwi w czasie wojny światowej. Ale jak wyglądają „pokojowe" republiki łacińskie od roku 1920? Wieloletnia, niemal permanentna rewolucja w Meksyku, wojna domowa w Nikaragui, przewroty w Argentynie — to są dzieje dnia wczorajszego. A w dobie obecnej: w Chile wrzenia rewolucyjne — ani to komunizm, ani faszyzm. Pomiędzy Boliwją, a Paragwajem toczy się o Gran Chaco faktyczna wojna. W Brazylji trwa walka z powstańcami w stanie Sao Paulo. Pomiędzy Peru a Kolumbją trwa zawzięty spór o port na Amazonce, mogący przybrać formę zbrojnego starcia. Urugwaj zerwał stosunki dyplomatyczne z Argentyną. W Ekwadorze wybuchło zbrojne powstanie.

Tak wygląda „pokój" w Ameryce Południowej.

WIELKA STRATA

Umarł jeden z najszlachetniejszych ludzi w Polsce — Eugenjusz Śmiarowski, chluba palestry polskiej i chwała demokracji.

Odszedł na wieki ten, o którym mówiło się: oto człowiek. Wdzięczność, szacunek i cześć zdobywał nietylko dzięki talentowi, którym zadziwiał, jako obrońca na sali sądowej, nietylko przez zasługi znakomite, jakie położył zarówno w czasach niewoli, jak i w latach budowania państwa. Jego walorem najwspanialszym był nieskazitelny, cudowny charakter.

Nieustająca, wiecznie żywa potrzeba, rzec można — żądza czynienia dobra, całkowite oddanie się sprawie wolności i sprawiedliwości, wrażliwe serce, czujne, bojujące sumienie, wiara, że przecież, że mimo wszystko walka o dobro ludzkie i społeczne nie idzie na marne, entuzjazm głęboki dla wszystkiego, co piękne i wzniosłe — oto Jego postać moralna i duchowa.

Wielką ponosimy stratę. Bo niewielu mieliśmy i niewielu mamy takich ludzi.

Cześć najgłębsza Jego pamięci.

„Epoka" daje swobodny wyraz wszystkim kierunkom myśli humanitarnej.

WALKA Z BEZROBOCIEM

Zawrotna liczba dwudziestu kilku miljonów bezrobotnych góruje dzisiaj nad wszystkiemi zagadnieniami polityki bieżącej. Dwadzieścia kilka miljonów osób, wysuniętych poza nawias produkcji, oznacza w praktyce cyfrę wielokrotnie wyższą, gdyż około sześćdziesięciu miljonów osób, pozbawionych środków utrzymania.

Bezrobocie w Stanach Zjednoczonych dochodzi już do 12 miljonów; Niemcy mają 5.700.000 bezrobotnych; Anglja — 2.550.000; Włochy — zgórą miljon; Czechosłowacja i Francja przeszło półtora, Polska— około pół miljona.

Bezrobocie ogarnęło dzisiaj cały świat, wszystkie gałęzie gospodarstwa: przemysł, handel, rolnictwo i finanse. Stało się zjawiskiem trwałem, masowem i jak dotychczas stale wzrastającem.

Jakiekolwiek są opinje co do podstaw bezrobocia — niepodobna nie uznać, że soki żywotne czerpie ono przedewszystkiem z rozkładu obecnego systemu gospodarczego.

Ów katastrofalny dzisiaj stan natężenia bezrobocia w całym świecie kapitalistycznym jest bowiem najoczywistszym wykładnikiem załamania się organizacji produkcji, zbytu i pieniądza, jest jaskrawym wyrazem niedających się pogodzić sprzeczności funkcjonalnych kapitalizmu. Bezrobocie ostatnich lat kilku narodziło się na tle specyficznego paradoksu. Ugruntowała się bowiem owa nędza dziesiątków miljonów bynajmniej nie w związku z upadkiem produkcji i ogólnem zmniejszeniem się bogactwa narodowego, lecz przeciwnie jako wynik wzrostu bogactw i natężenia technicznego.

Już w r. 1925 wyrównano straty, poniesione w wojnie światowej, zaś w r. 1929 stan natężenia bogactw był wyższy, niż kiedykolwiek. Jednocześnie stwierdzono we wszystkich krajach przemysłowych niesłychany dotychczas wzrost wydajności pracy. Wydajność pracy naprzykład robotnika amerykańskiego wzrosła od r. 1920 o 53%, w Szwajcarji zmechanizowanie pracy podniosło wytwórczość w okresie od 1923 r. do 1929 r. — o 50%.

W tym samym czasie zmniejszył się wzrost ludności w stosunku do okresu przedwojennego, co oznaczać winno — w teorji — tem większy wzrost bogactwa, przypadającego na głowę ludności.

Lecz rozwój tych bogactw w ramach gospodarki indywidualistycznej sprowadza własny swój zanik. Owo rozbudowywanie aparatu produkcji bynajmniej nie idzie w parze z odpowiednim rozwojem siły nabywczej ludności. Od początku kryzysu obecnego, t. j. od r. 1929 ujawnia się we wszystkich krajach stały i znaczny spadek przeciętnego poziomu płac— w Polsce np. płace spadły aż o jedną trzecią. Ów wadliwy — powiedzmy — podział dochodów znajduje właśnie swoje następstwo w istnieniu miljonów głodnych obok ogromnych zapasów. Okoliczność ta doprowadza do absurdu samą produkcję. Przedmiot wytworzony jest bowiem celem dla kapitalisty i zarazem czynnikiem gospodarczo - twórczym tylko wówczas, jeżeli przedmiot ten można zbyć. Inaczej mamy tak charakterystyczne zjawisko destrukcyjne czasów dzisiejszych, że „nadmiar bogactw" prowadzi

do ich zniszczenia — nie zaś spożycia, urodzaj przeobraża się w klęskę, a nowe udoskonalenie techniczne oznacza — brak pracy dla nowych setek tysięcy.

Przyczyny bezrobocia tkwią tedy w sferze ogólnych stosunków gospodarczych i walka o usunięcie tych przyczyn wykracza znacznie po za zwykłe reformy społeczne. Walka z bezrobociem — w ramach obecnego ustroju gospodarczego — oznaczać przeto może jedynie przeciwdziałanie skutkom bezrobocia, łagodzenie objawów klęski.

Akcja walki z bezrobociem idzie naogół w dwóch kierunkach: pomocy dla bezrobotnych oraz dostarczenia bezrobotnym pracy.

Najbardziej racjonalnym środkiem pomocy jest dzisiaj ubezpieczenie na wypadek bezrobocia. Dzięki temu ubezpieczeniu urzeczywistnia się zasada, że obywatel tracący pracę nie ze swej winy, ma prawo do świadczeń z funduszów publicznych. Zwyczajne środki opieki społecznej stały się, zresztą, dzisiaj już bezsilne.

W r. 1931 było 35.800.000 osób przymusowo ubezpieczonych (bez Z.S.S.R., która zniosła ten dział ubezpieczeń od października 1930 r., wykazując do tego czasu 10.000.000 ubezpieczonych) oraz 3.100.000 ubezpieczonych dobrowolnie. Zasadniczem świadczeniem jest zasiłek, który bezrobotny otrzymuje w ciągu krótkiego czasu. Owa krótkoterminowość świadczeń jest — oczywiście — przystosowana do bezrobocia normalnego, staje zaś w rażącej sprzeczności z wymogami życia w czasie przesilenia przewlekłego, jakiem jest obecne. Koszty ubezpieczenia ponoszą, jak wiadomo, państwo z jednej strony, a przedsiębiorcy i pracownicy z drugiej strony. Sprawa stosunku, w jakim państwo i czynniki gospodarcze mają uczestniczyć w podziale tych kosztów, stanowi w praktyce dzisiejszej zagadnienie pierwszorzędne. Bo oto kryzys podważył w wielu państwach gospodarcze podstawy zabezpieczenia na wypadek bezrobocia. Ogromne deficyty tego ubezpieczenia pokrywa państwo. Dzieje się tak w Anglji, w Niemczech, w Polsce i t. d. Fundusze te stały się jednak tak znaczne, wskutek obniżania się wpływów płynących ze składek oraz spadku liczby ubiezpieczonych z powodu wyczerpywania się ich prawa do zasiłków, że tylko środki nadzwyczajne muszą być brane w rachubę, gdyby chciano sprostać istotnym potrzebom.

W Anglji, gdzie istnieje przymusowe ubezpieczenie od bezrobocia już od r. 1911, zachwiały się podstawy tego ubezpieczenia w r 1931, — co było zresztą, nawet jedną z przyczyn upadku ówczesnego rządu. Kredyt rządowy wynosił wówczas 115 miljonów funtów sterlingów, co jednak wobec tendencji nieobniżania stopy życia robotników, nie starczyło na pokrycie niedoboru.

Podobnie w Niemczech Tutaj już od początku r. 1929 niedobór budżetu ubezpieczeniowego wzrastał tak szybko, że wydano zarządzenie specjalne, tak zwane „Notverordnungen" obniżające świadczenia dla bezrobotnych. Podobnie dzieje się i w wielu innych państwach, jakkolwiek nie wszędzie upadają — jak w Anglji — rządy z powodu groźby obniżenia poziomu życia robotników.

Brak środków finansowych staje również jako przeszkoda, gdy idzie o dostarczenie pracy bezrobotnym — w zakresie robót publicznych. Uznano jednak zasadniczo roboty takie we wszystkich krajach jako skuteczne przeciwstawienie się depresji gospodarczej. W Niemczech stworzono nawet t. zw. „Wertschaffen der Arbeitlosenfürsorge", polegającej na tem, że zatrudnia się bezrobotnych przy robotach publicznych zamiast wypłacania im zasiłków należnych z tytułu ubezpieczenia od bezrobocia. W Anglji zatrudnia się przy robotach publicznych około 200.000 osób, we Włoszech rząd ogłosił program robót publicznych, przy których można byłoby zatrudnić około 120.000 osób.

Stanowisko specjalne zajmują wśród środków walki z bezrobociem sprawy czasu pracy i płacy. Roboty publiczne, organizacja pośrednictwa pracy, a nawet ubezpieczenia na wypadek bezrobocia nie naruszają dotychczasowej organizacji produkcji. Spory między różnemi grupami społecznemi dotyczą tutaj nie spraw zasadniczych, lecz raczej sposobu przeprowadzenia tych zasad. Zagadnienia pracy i płacy ujawniają zaś w całej jaskrawości sprzeczność interesów między kapitałem, a pracą oraz stosunek odrębny do rozwiązania całości zagadnienia, jakiem jest kryzys obecny. Sprawa krótszego czasu pracy jest to bowiem nietylko sprawa zatrudnienia większej liczby pracowników, lecz także i sprawa celu produkcji: zysk indywidualny, czy dobro społeczne.

— „Niema innego sposobu rozwiązania klęski bezrobocia jak skrócenie czasu pracy i zmiana organizacji produkcji", — mówił na konferencji międzynarodowej w sprawie bezrobocia p. *Jouhaux*, przedstawiciel robotników. Zaś p. *Lambert-Ribot*, przedstawiciel przedsiębiorców, na tejże konferencji oświadczył, że zasady, na których opiera się dzisiejsze życie gospodarcze, nie mogą być naruszone, koszta produkcji nie mogą być podwyższone.

Niezwykła trudność położenia w zakresie walki z bezrobociem ujawnia się również i w akcji międzynarodowej. Program tej akcji omawiany był na specjalnej konferencji, zorganizowanej przez Międzynarodowe Biuro Pracy. Program ten obejmował uruchomienie robót publicznych, udoskonalenie instytucji pracy i rozwoju ubezpieczenia na wypadek bezrobocia. Wniosek dotyczący robót publicznych, przewiduje uzyskanie pomocy finansowej nietylko na roboty krajowe lecz i międzynarodowe, które miałyby na celu wyposażenie całego kontynentu europejskiego w doskonalsze środki komunikacyjne. Wnioski te jednak pozostały dotąd w sferze projektów.

W świetle faktów rzeczywistych wydaje się najbardziej istotnem — jeśli chodzi o bezrobocie w dzisiejszym ustroju gospodarczym — twierdzenie zmarłego niedawno Alberta Thomasa, b. dyrektora Międzynarodowego Biura Pracy: „Il n'ya pas la solution de la crise du chômage".

Dr. Eug. Pragierowa

„Epoka" jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

GŁOS MILJONÓW

Znany publicysta niemiecki, A. E. Johann, po kilkuletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, wydał książkę p. t. „Untergang am Uberflum" (Upadek z nadmiaru).

A. E. Johann badał sumienie i wszechstronnie życie i warunki pracy w Ameryce, a zwłaszcza bezrobocie. Spędził on pewien czas, jako robotnik w fabrykach metalurgicznych, pracował jako drwal w lasach kanadyjskich, jako robotnik rolny w farmach Middlewest.

Z bogatego skarbca przeżyć własnych i obserwacyj załączył w książce swojej kilkanaście arcyciekawych rozmów z bezrobotnymi.

Przytaczamy niektóre z nich in extenso:

Joe Spence. San Francisco, California: „Od sześciu miesięcy jestem bez zajęcia. Przewędrowałem w lecie całą dolinę. Zarobiłem raz podczas zbioru owoców 10 dolarów. Tłukłem się po szosach kalifornijskich, radząc sobie, jak się dało. Ubranie, które mam na sobie, zebrałem po kawałku. Wreszcie musiałem stanąć w ogonku po zupę. Trzy godziny trzeba wystawać, zanim się dostanie talerz kaszy. Popołudniu ta sama historja. Sypiam w jakimś niewykończonym ,pustym domu, ale nie powiem ci, gdzie to jest, bo nie byłoby już tam kawałka wolnego miejsca".

Pat Dougherty, Los Angelos, California: „W roku 1931-ym przepracowałem tylko pięć dni. Przeczytałem pewnego razu w ogłoszeniu, że poszukuję się do pracy w zagłębiu naftowem ludzi żonatych. Następnego dnia byłem tam o ósmej rano, dostałem się do biura dopiero o drugiej. Wypytywano mnie o rozmaite rzeczy, powiedziano, że za trzy tygodnie dadzą znać. Z trzech tygodni zrobiło się sześć miesięcy. Nie umarłem z głodu, bo żona moja od czasu do czasu pracuje.

Fred Archer. Santa Fe, New Mexico: „W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy pracowałem tylko sześć tygodni — w kopalniach. Miałem kiedyś małą fermę. Ale podczas wojny sprzedałem ją i zostałem robotnikiem, bo płace były wysokie. Oszczędziłem trochę pieniędzy i kiedy konjunktura się skończyła, nabyłem znowu fermę. Szło dobrze, dopóki pszenica nie spadła w cenie. Potem nie było już co robić, a podatki mnie zjadły. Pracowałem jakiś czas przy budowie kolei, teraz stoję w ogonku po zupę. Myślisz, że będziemy wiecznie stali w ogonku? Mówię ci, że to się musi skończyć".

Tom Moody. Seatthe, Washigton: „Jestem bez pracy zgórą rok. Jestem górnikiem, ale kopalnie zamknięte. Zawędrowałem do Salt-Lake-City, gadałem tam z ludźmi, którzy przybyli ze wszystkich stron kraju. Wałęsałem się po całym Zachodzie, nigdzie pracy niema. Dałem za wygraną, pragnę tylko mieć kąt do spania. Ale i to jest już dzisiaj trudne. Stoję w ogonku po zupę, czasem gadam z młodymi. Tym się zdaje, że miasto robi wiele, gdy daje nam trochę żarcia. Niekiedy wystawałem po trzy godziny i dłużej, a gdym się docisnął, zupy już nie było. W przytułkach miejskich nie udało mi się przenocować ani razu. Powiem ci co myślę: ta historja będzie trwała tak długo, aż pewnego pięknego dnia ruszymy"...

Louis Troich, Seattle, Washington: „Cztery lata spędziłem na froncie. Nic mi to nie pomogło. Wdzięczność narodu... Jak długo jeszcze mamy zdychać z głodu? W tym kraju pełno jest wszystkiego, miljony buszli pszenicy, kartofli, mleka, ryb, wszystkiego, czego tylko można zapragnąć, ale wszystko gnije, bo bezrobotnym nikt nie chce dać, ani obierzyny kartofla. Musimy walczyć, człowieku, musimy walczyć i zwyciężymy, bo słuszność jest po naszej stronie".

Charles Doyle. Phenix, Arizona. Jestem robotnikiem metalowcem. Trzydzieści lat przepracowałem w fabryce stali. Przed trzema laty wyrzucono mnie na bruk i od tego czasu nie mogę znaleźć pracy. Moje oszczędności przejadłem. Wczoraj spałem w szopie fabrycznej. Wystaję w ogonku po zupę. Gdybyśmy sami zorganizowali tę rzecz, byłoby znacznie lepiej. Nie szukam już pracy. Myślę, że świat ginie. Co ci jeszcze powiedzieć? Moja żona umarła na szczęście, moi dwaj synowie też są bez pracy.

Leo Regnel. San Diego, California: „Jestem żonaty, mam troje dzieci, rodzina moja mieszka w Butte (Montana). Długie lata pracowałem w kopalniach, ale w ostatnich miesiącach udało mi się przepracować tylko 34 dni. Wolą brać do pracy młodszych, którzy zgadzają się na niższą płacę. Brałem już po dolarze za dzień pracy. Ale za dolara trudno utrzymać rodzinę złożoną z pięciu osób.

Udałem się do Las Vegas. Wiadomo, jakie tam są warunki. 5.000 ludzi pracuje w takich lochach, że padają jak muchy. Zarabiają tyle, że niezawsze mają na obiad. Pewnego razu ukradłem dwanaście jaj na fermie, żeby je posłać do domu, żonie. Przyłapano mnie i obito. Siostra pomagała nam jakiś czas, ale teraz i jej mąż stracił pracę. Opuściłem rodzinę, bo Czerwony Krzyż i organizacje religijne pomagają rodzinom, które nie mają ojców. Gdy ojciec jest, mówią: ojciec może wam pomóc".

Mc Cormic. San Francisco, California: „Jestem starszy od wielu tych, co znajdują się bez pracy. Teraz zostałem włóczęgą. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, ile czasu uganiam się za pracą. Pracowałem zawsze, gdy mi się tylko udało dostać robotę — w kopalniach, na szosach, w lasach. Teraz wystaję w ogonku po zupę. Zostałem tem, czem w przyszłości zostaną młodzi, którym się wydaje, że pewnego dnia się zbogacą. Każdy z nich zostanie tak samo starym, zużytym włóczęgą. Dlaczego ci młodzi żyją, jak psy i zdychają, jak szczury i to w kraju bogatym? Kiedy młodzi zobaczą, że nie mają przed sobą przyszłości, wtedy nie chciałbym na miejscu tych, którzy wyrzucają nas z fabryk".

*

Beznadziejność. Wystawanie w ogonku po zupę. Wyszukiwanie noclegu. Z dnia na dzień. Z miesiąca na miesiąc. Z roku na rok...

DOSYĆ TEJ PIEŚNI PONUREJ

Przed kilku laty do ówczesnego referenta literatury w Departamencie Sztuki Ministerstwa W. R. i O. P. zgłosiła się kiedyś buńczucznie się przedstawiająca dama w sprawie „urzędowej", jak ogólnikowo zaznaczyła na kartce do meldowania przez woźnego interesantów. Dama, jak się okazało, była z prowincji, z ziemi warszawskiej, a sprawą, która ją zapędziła do biura Departamentu była skarga na nauczycielkę szkoły powszechnej w J. Usłyszawszy cel wizyty, referent chciał odrazu damę „spławić", kierując ją do właściwej instancji. Ale niewiasta była nieustępliwa: przyszła tutaj za radą osób kompetentnych, bo tu chodzi o sprawę literacko-muzyczną, więc postanowiła poskarżyć się w Departamencie Sztuki i zaatakować naprzód referenta literatury, a potem referenta muzyki. Wątpię, czy przez szacunek dla literatury taki sobie obrała porządek, — dość, że tak sobie obmyśliła. To wszystko „z bólem serca, lecz w imię obowiązku dobrej Polki". Cóż było robić? Referent musiał jej wysłuchać.

O cóż chodziło tej obywatelce?.. Wnosi skargę przeciw nauczycielce N. o brak uczuć partjotycznych, co wyraża się w tem, że nie chce ona uczyć dzieci w pierwszych oddziałach szkoły śpiewać „Rotę" Konopnickiej. — Ośmiela się, proszę pana radcy, twierdzić, że to jest pieśń nieodpowiednia dla dzieci, bo słów nie rozumieją dokładnie, a melodja jest posępna. Jeszcze powiada, że dla dzieci w tym wieku odpowiednie są tylko piosenki wesołe, i że lepiej niech śpiewają „Uciekła mi przepióreczka w proso" a nie „Rotę". I taka ma powierzone wychowanie dzieci na dobrych Polaków! — przypieczętowała swe oskarżenie.

Wiadomo mi z najbardziej wiarogodnego źródła, że interpelowany referent nietylko nie dojrzał w podanym fakcie braku uczuć partjotycznych owej nauczycielki, lecz owszem, dojrzał rozsądne traktowanie przez nią swych obowiązków, świadczących o liczeniu się z psychiką dziecka. I to usiłował wytłumaczyć interesantce.

Dama z prowincji o niczem słyszeć nie chciała. Była przecież delegatką i prezeską kółka rodzicielskiego. Wyszła zgorszona i oburzona, że „osoba urzędowa" w ten sposób „jej sprawę" potraktowała. Na odchodnem obiecała, że pójdzie ze swą skargą „wyżej". Jednak zaraz się za drzwiami widać rozmyśliła, bo właśnie poszła niżej, t. j. opuściła gmach i więcej paniusi nie widziałem, ani o jej „skardze" nie słyszałem. Mego kolegi od spraw muzyki już swą wizytą nie zaszczyciła.

Bo to ja byłem tym referentem — bez skruchy przyznać się muszę.

*

Minęło od tej pory pięć lat i nietylko nie zmieniłem swego ówczesnego poglądu, ale znacznie go rozszerzyłem: uważam, że nietylko dzieci, lecz i młodzież i dorośli nie powinni w wolnej Polsce śpiewać „Roty". Ile razy dobiegną mnie ponure, zawodzące, wprost pogrzebowe tony pierwszych kilku taktów tej pieśni, mam nieodparte wrażenie jakiegoś śpiewu - jęku galerników, jakiejś skargi, dobywającej się z kazamat skazańców. I to ma być pobudką czuwania nad całością granic zachodnich! Bo przecież chyba taki sens ma śpiewanie w czternaście lat po odzyskaniu niepodległości „Roty". Anachronizm wykonywania dziś muzyki tego hymnu bije nietylko w uszy, lecz w najczulsze fibry duszy obywatela wolnej Polski.

Gdzie w muzyce Feliksa Nowowiejskiego do słów Konopnickiej jest moc wiary w siebie, wybuch energji, poryw entuzjazmu, bodaj dziarskość pobudki bojowej?... Wobec potęgi zapału bijącego z takiej Marsyljanki, „Rota" brzmi jak półkościelna pieśń dziadowska. Adnotacja kompozytora dla wykonawców „Z zapałem" (wyd. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1923) kłóci się z ociężałym, melancholijnym rytmem pieśni, z jej powolnem tempem.

Nastrój smutku i to tempo kwalifikują „Rotę" do kategorji pieśni żałobnych. A używa się tej pieśni do *manifestowania tężyzny narodowej* wobec zakusów politycznych wrogo usposobionego sąsiada. Bardzo niefortunny, bo aż groteskowy wybór. Do tego „Miserere" pasuje raczej światło gromnic i mnisze kaptury. Wybitnemu pieśniarzowi „Rota" się nie udała. Trzeba to sobie bez fałszywego wstydu powiedzieć i wyciągnąć logiczny wniosek.

Nie udały się również znakomitej poetce słowa, zwłaszcza ostatniej zwrotki: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił". Tysiące młodzieży polskiej dzisiaj nie zdaje sobie sprawy, że „Rota" napisana była w dobie niewoli, tysiące poprostu nie wie, że Konopnicka umarła na cztery lata przed wojną światową. I wiem, że co dzielniejszy chłopiec wymawia te przestarzałe słowa „Roty" z uczuciem palącego wstydu. Kilku harcerzy zwierzało mi się w sekrecie, że uważają za bardzo niewłaściwe śpiewanie tej zwrotki, a jeden z nich trafnie to motywował: „Skoro się śpiewa, że Niemiec nie będzie nam pluł w twarz, to z pod tego wyłazi, że dawniej nam pluł. A jeżeli tak było, to o takiej hańbie trzeba milczeć, żeby nawet nikt nie przypuszczał, że to było możliwe".

Tak samo myśli dziś tysiące Polaków — tylko każdy myśli „dla siebie" nikt pary z gęby nie puści, bo „Rota" to tabu, środek podtrzymujący ducha w narodzie. Znów błąd. Właśnie *w imię godności narodowej* należy „Rotę" krytykować, uznać jej przestarzałość i schować do archiwum pamiątek martyrologji Polski, obok „Z dymem pożarów" i „Boże coś Polskę".

Jak dziś nonsensem i bluźnierstwem byłoby się modlić słowami „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!" lub śpiewać o skardze strasznej, od której „bieleje włos" — tak *poniżającem jest* nawet samo zapewnianie na manifestacjach politycznych 30 miljonowego narodu, że „ nie damy, by nas zniemczył wróg".

Wiadomo. Nikt o tem nie wątpi. Nawet Niemcy. „Rota" wydawana jest z uzupełnionym tytułem „Hymn narodowy". Tu jest coś nie w porządku. W państwie polskiem, jak w każdem innem, może być oficjalnie uznany za taki tylko jeden hymn narodowy. Skoro z dawnych pieśni patrjotycznych przywilej ten uzyskała „Jeszcze Polska..." — nie trzeba wprowadzać zamętu i nazywać dziś „Rotę" też hymnem narodowym.

Może wtedy łatwiej nam będzie złożyć ją ad acta. Dosyć tej pieśni ponurej!

Wacław Rogowicz

ODPOWIEDŹ DZIENNIKARZA

W tygodniku „Jutro Pracy" (nr. 5) ukazał się artykuł p. Henryka Rygiera — literata, publicysty, znanego i szanowanego działacza społecznego p. t. „Do kolegów dziennikarzy".

Na ten list otwarty, zawierający pod adresem dziennikarzy zawodowych dwa zarzuty, uważam za swój obowiązek odpowiedzieć.

Zarzuty są takie:

1. że dziennikarze zawodowi niedość gorliwie i skutecznie współdziałają z akcją Unji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych, do której Syndykat Dziennikarzy Warszawskich formalnie należy;

2. że dziennikarze są wogóle zbyt bierni; nie przeprowadzają w dziennikach swojej ideologji, dopuszczając do tego, że większość czasopism stołecznych więcej zajmuje się „sensacjami", „romansami" lub „ślubem ks. Lubomirskiej z ks. de Bourbon Parma".

Oba te zarzuty, a zdaje się, że wyłowiłem je wiernie z obszernego i wylewnego listu, zasługują na odpowiedź.

Dlaczego nie wszyscy entuzjazmujemy się akcją Unji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych, która skupia w sobie jak pisze p. H. Rygier „pół miljona polskich pracowników umysłowych?"

Poprostu dlatego, że ta organizacja wprzężona przez swoich kierowników w rydwan polityczny, zeszła na manowce z których podobno zamierza zejść, ale nie widać żadnych tego dowodów.

Owe półmiljona przyczyniło się do wyboru dużego grona posłów i senatorów tak zwanych pracowniczych, których rola sprowadziła się do przykładania pieczątki głosu, lub najwyżej milczenia, do wszystkich ustaw sprzecznych z interesami pracowniczemi. Nie wymieniam z nazwiska tych panówj (pracownicy umysłowi je znają dobrze). Żaden z nich nie tylko nie uznał za stosowne złożyć mandatu, gdy zawiódł zaufanie swoich wyborców, ale nawet ani jeden nie wystąpił z klubu poselskiego, by odzyskać samodzielność działań i słowa.

Cóż więc dziwnego, że gdy przychodzi nawet tak szlachetna impreza jak dzień Pracownika Umysłowego i wśród organizatorów jej figurują znowu ci panowie na honorowych miejscach, trudno o wykrzesanie zapału dla takiego przedsięwzięcia.

Trudno o to, jeżeli nawet są w programie zawody sportowe, które „Jutro Pracy" uważa za taką wielką zdobycz organizacji; trudno nawet wtedy, jeżeli ten cały program nie zamienia się w jedno z tych „uroczystych odsłonięć otwarcia", których doprawdy każdy inteligentny człowiek ma wyżej uszu.

Ale to są rzeczy przejściowe, konjunkturalne, jak to się teraz mówi. Wraz z p. Henrykiem Rygierem wierzę w walor półmiljona pracowników umysłowych, wierzę, że potrafią oni wznieść się ponad konjunkturę i wydobyć z pod opieki swoich dziwnego autoramentu przedstawicieli.

Wówczas nie zabraknie w dniu pracownika umysłowego i tej garści dziennikarzy zawodowych, których pomawia autor listu o bierność.

A teraz, zagadnienie zasadnicze: czy dziennikarze są winni, że prasa zajmuje się t. zw. sensacjami, a nie „czynnikami społecznie ważniejszemi".

Pan Henryk Rygier, chcąc odpowiedzieć sobie na to pytanie operuje przesłankami z tych czasów, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy przy biurku redakcyjnem w 1906 r. Nie chce widzieć, że przez ten czas nastąpiło uprzemysłowienie prasy w Polsce, że dziennikarz zawodowy stał się i stać się musiał najmitą, który tylko tem różni się od swej współbraci pracowników fizycznych, że powinien stosować t. zw. klauzulę sumienia.

Robotnik antymilitarysta może pracować przy wyrobie pocisków i to go nie plami, ale dziennikarz — publicysta antymilitarystyczny nie może pisywać artykułów na rzecz wojny, bo znajdzie się po za obrębem ludzi uczciwych.

Oto jedyna różnica. Innych niema. Wielka prasa, to towar fabrykowany przez wydawcę, zawierać musi te kolory i desenie, które mają zbyt na rynku.

Muszę stwierdzić, że pod względem tego towaru, cieszącego się powodzeniem, mamy dotychczas w Polsce jaknajgorsze doświadczenie nie z winy dziennikarzy, a powiem więcej, nawet częściowo i nie z winy wydawców. Społeczeństwo ma taką prasę, na jaką zasługuje.

Nie przeczę, że powinien znaleźć się ofiarny i przezorny wydawca, który zadałby sobie trud i koszt pójścia przeciw prądowi, i puściłby na ugorne pola czytelnictwa polskiego dobrą gazetę. Jestem przekonany, że takie przedsięwzięcie opłaciłoby się moralnie i kiedyś, kiedyś materjalnie.

Jest to wielka inwestycja, której dotąd nikt nie podjął się, bo nas nie stać na nią, zbyt jest ryzykowna i najeżona w naszych warunkach niesłychanemi trudnościami.

A jakie są te trudności, tedy najlepszym dowodem znikomy wpływ półmiljona pracowników umysłowych na poziom naszej świadomości społecznej i politycznej.

Stefan Grostern

WIELKIE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Zwykłe oblicze kryzysu, które znamy wszyscy tak dobrze i z którem nawet zżyliśmy się już potrochu, nie jest może bardziej groźne, niż to inne, nie objawiające się szerszemu ogółowi na giełdzie, czy na rynku, nieznane z fotografij w dziennikach. Groźba zubożenia może nie jest bardziej straszna, niż perspektywa zaniku kultury umysłowej. Z zaciekawieniem słuchamy wieści o załamywaniu się firm przemysłowo - handlowych, głośnych w całym świecie, zajmujemy się jednak zbyt mało cichą agonją warsztatów pracy umysłowej....

Bezgłośna, nieefektowna działalność bibljotek naukowych może być przyrównana poniekąd do procesów geologicznych. Niewidoczna na zewnątrz, wymaga długich okresów czasu na ujawnienie swych wyników. W starych instytucjach, po setkach lat zbierają nowe pokolenia owoce wysiłków i starań zapomnianych oddawna pracowników.

Na tegorocznem posiedzeniu Międzynarodowego Komitetu Bibljotek, odbytem w Bernie, złożył Dr. Collijn, Dyrektor Bibljoteki Królewskiej w Stock-

holmie, następujące oświadczenie, przyjęte jednomyślnemi oklaskami przedstawicieli dwudziestu paru Związków Bibljotekarzy:

Kryzys powszechny pogrąża w swym cieniu cały świat. Naturalnym tego wynikiem było wszędzie obniżenie do granic możliwości budżetów państwowych, w celu pewnego chociażby złagodzenia ciężarów pod któremi wszyscy się uginają. W zasadzie zarządzenia te były słuszne. W tak trudnych czasach trzeba zastosować wszelkie środki, mogące się przyczynić do poprawy położenia. Niemniej jednak należy wystrzegać się posunięć, których użyteczność jest wątpliwa już w chwili stosowania, a które mogą pociągnąć za sobą nader smutne konsekwencje w przyszłości. Do środków tej ostatniej kategorji należą niezaprzeczenie *cofnięcia przyznawanych dotychczas zasiłków na prace naukowe* i intelektualne; dałoby ono w wyniku zahamowanie lub nawet *zupełne unieruchomienie badań naukowych naszej epoki.* Jest, jak się zdaje, obowiązkiem przedstawicieli świata naukowego i intelektualnego zabrać głos i ostrzec z całym naciskiem przed niebezpieczeństwem, jakiem fakt ten grozi całej naszej kulturze.

Prawdą jest to, co mówił znakomity uczony, Adolf Harnack, szef Bibljoteki Państwowej w Berlinie, w swej mowie inauguracyjnej, że rozwój nauki i literatury zależny jest przedewszystkiem od wielkich genjuszów i jednostek twórczych, których prace są drogowskazem w badaniach i otwierają dla nich nowe perspektywy. Ale, na nieszczęście, nie jest nam dana możność tworzenia takich postaci w potrzebie: są one darem losu, zsyłanem ludzkości w szczęśliwych chwilach. Natomiast drugim pod względem swej doniosłości warunkiem rozwoju kultury jest opieka, jaką powinny być otaczane wielkie warsztaty pracy naukowej i intelektualnej; pośród tych warsztatów na naczelnem miejscu stawia Harnack bibljoteki.

Bibljoteki przechowują wyniki prac dokonanych i dostarczają zarazem materjałów do ich kontynuowania. Są równocześnie skarbnicą, pracownią i narzędziem nauki. Zło, spowodowane w wielkich bibljotekach przez obniżenie dotacji, przez zredukowanie personelu i t. p., ograniczające ich rolę ośrodka studjów i międzynarodowego organu pracy umysłowej, byłoby olbrzymie nietylko dla obecnego pokolenia, które odczułoby skutki bezpośrednie, lecz również dla generacji następnych. Bardzo słuszne jest porównanie, które zastosował jeden z wielkich bibljotekarzy, pomiędzy staraniem, jakiego wymaga bibljoteka, a opieką, należną zalesieniu kraju: gospodarka rabunkowa i zaniedbanie dają się odczuwać przedewszystkiem dalszym pokoleniom; te skarżyć się będą gorzko na braki powstałe naskutek przesadnej oszczędności i wydadzą wyrok bezlitosny na naszą epokę, która poświęciła wartości nie dające się zastąpić niczem, ażeby uzyskać dla siebie chwilową ulgę.

Kultura europejska, której postępy napełniają nas słuszną dumą, oparta jest na podstawie naukowej i intelektualnej; nie zdołałaby się utrzymać, gdyby ta podstawa miała ulec zachwianiu. Cała nasza egzystencja, nasze życie umysłowe i fizyczne opierają się na zdobyczach wiedzy współczesnej. Każda szczerba w gmachu wiedzy miałaby nieobliczalne następstwa dla życia umysłowego, we wszystkich jego przejawach. Wytworzeniem zaś takiej szczerby grozi dążenie do zredukowania dotacji, któremi rozporządzają obecnie bibljoteki. Zatamowanie kredytów przeszkodziłoby im w pełnieniu ich roli w całokształcie organizacji nauki. Czem jest uczony bez bibljoteki? *„Claustrum sine armario quasi castrum sine armentario"* — mówiono już w końcu XII wieku; jeżeli zastąpić słowo: claustrum przez inne, bardziej nowoczesne, — zdanie to pozostaje prawdziwem aż po dzień dzisiejszy. Liczba uczonych, mogących zaopatrzyć się samodzielnie w niezbędny materjał prac drukowanych, jest znikomo mała. Nie podobieństwem zaś jest, nawet dla tej drobnej garsteczki, zdobycie książek starych, których przestudjowanie jest konieczne. Nawet w dotychczasowych warunkach zarządy bibljotek narażone są codziennie na skargi, napływające ze wszystkich stron. Starają się jednak zaspakajać wymagania uczonych, utrzymując równowagę i rozdzielając sprawiedliwie ograniczone swe środki. Gwałtowny rozrost bibljografji, wzmagająca się specjalizacja, potrzeba zaspakajania badań o charakterze indywidualnym i różne inne czynniki sprawiają bibljotekarzom wiele kłopotów; wszystkie te przyczyny powodują skargi świata naukowego, który jest zmuszony do zahamowania tempa swych poszukiwań z powodu braków w dokumentacji.

W razie wprowadzenia dalszych ograniczeń, gdyby bibljoteki były zmuszone do znaczniejszego jeszcze uszczuplenia zakupów, — możnaby mówić z całą słusznością o grożącym upadku nauki. Wielu jest takich, którzy uważają to za przesadę i twierdzą, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie. Są to ci, którzy nie rozumieją położenia. Nasuwa się tutaj porównanie bibljotek z wielkiemi zbiornikami wody, która zasila rozległe przestrzenie tysiącami małych kanałów. Dokonywa się to dyskretnie, bez hałasu i reklamy, które wydają się nieodłączne od dzisiejszego życia; cisza ta właśnie sprawia, że ogół skłonny jest do niedoceniania znaczenia działalności bibljotek. A jednak, gdyby ustała, dałyby się odczuć niezwłocznie zgubne tego następstwa. Niebezpieczne doświadczenia, zwalające ciężką odpowiedzialność na tych, którzyby się na nie ważyli! Ostateczna decyzja w tych sprawach nie jest zależna od przedstawicieli międzynarodowego świata nauki; ostrzeganie jednak przed grożącem niebezpieczeństwem jest nietylko ich prawem, lecz najistotniejszym obowiązkiem".

W związku z komunikatem powyższym uchwalono jednomyślnie następującą rezolucję:

„Międzynarodowy Komitet Bibljotek wzywa z całym naciskiem wszystkie Rządy, ażeby starały się, pomimo kryzysu światowego, zachować w całości do rozporządzenia pracowników umysłowych środki, przyznawane dotąd państwowym urzędom szkolnictwa i oświaty, zwłaszcza zaś kredyty, przeznaczone dla bibljotek."

Odezwa, którą tu przytoczyliśmy in extenso, stanowi pełen wymowy dokument czasów. Sprawa bibljotek w Polsce jest jedną z największych bolączek naszego życia kulturalnego. Dotacje państwowe i samorządowe maleją lub znikają. Projekt Ustawy Bibljotecznej nie może się doczekać uchwały parlamentu. Wszystkie argumenty, przytoczone w odezwie Związków Bibljotekarzy, mają u nas zastosowanie tem żywotniejsze, że sprawa ta stoi w Polsce jeszcze gorzej, niż na Zachodzie.

APOSTOŁOWIE EKSTAZY

(W SETNĄ ROCZNICĘ WYJAZDU EMERSONA W PIERWSZĄ PODRÓŻ DO EUROPY*)

Na uboczu od biologicznych, czy archeologicznych badań i obliczeń przyjąć można jako punkt wyjścia dziejów ludzkości pierwsze odkrycie jaźni indywidualnej. Tak więc pierwszym człowiekiem na ziemi był ten nieznany nam, ten Bezimienny, który poczuł najpierwszy, iż nosi w sobie niewidoczne ziarno pęczniejące z dnia na dzień i puszczające ze siebie korzenie i łodygi, — siłę możną, każącą dłoniom budować narzędzia, a myślom tworzyć Bogów.

Określono duszę ludzką, jako siedlisko prądów myśli i źródło fal tajemnych, to znów jako wibrujący nieustannie głos wewnętrzny, albo jako płomień zmuszający stopy do pośpiechu, zespalający dłoń z narzędziem, a doskonale widoczny w oczach rozszerzonych gorączką marzenia. Określiwszy tak czy inaczej ludzką jaźń, zawsze przecież obracać się będziemy w granicach jej zdolności do ruchu, do wzrostu, do pogłębienia się i rozszerzenia, a wreszcie do pracy twórczej. Postęp i kultura, zasadnicze cechy różniące nas od sennego świata roślin i od automatycznej maszynerji zwierząt, pouczą nas o innych jeszcze właściwościach duszy ludzkiej, a mianowicie o nieprzebranem bogactwie jej zainteresowań, o podatności jej i łatwości zastosowania się do przeróżnych warunków zewnętrznych, a wreszcie o jej zmienności, krnąbrności, uporze, o zaprzeczaniu dniem dzisiejszym wczorajszych prawd i o nieustannej walce wzajemnej jej przejawów.

— Upadają dogmaty, niszczeją doktryny i metody się psują, ale Dusza trwa, — powiada Nietzsche Ameryki, — Ralph Waldo Emerson. Podobnie jak nie znamy czasu zjawienia się pierwszej jaźni ludzkiej, nie wiemy kiedy się pojawił ów Pierwszy, który pośród miljona sprzecznych ze sobą doktryn, dogmatów i metod głosić począł kult „rozszerzania się Duszy" obejmującej wszystkie dziedziny kultury i wszystkie stopnie postępu. „Kolporter ideału" Ralph Waldo Emerson, to tylko jedno z ogniw długiego łańcucha zwiastunów, apostołów i nauczycieli rozszerzania się duszy człowieka.

Patrzenie na świat przez okulary „wzrostu jaźni ogólnoludzkiej" stwarza nową, specyficzną moralność, ową *„absolutną moralność dusz otwartych"*, o jakiej pisze Bergson w swem ostatniem dziele: („Les deux Sources de la Morale et de la Religion" Paris. Alcan 1932), a która rozróżnia zjawiska jako względnie złe lub też względnie dobre w zależności od tego, czy przeszkadzają one, czy też sprzyjają rozwojowi ludzkiej jaźni. Jedynem dobrem bezwzględnem, a zarazem probierzem wartości jest rozszerzanie się „duszy otwartej" danego osobnika. Czyż nie to samo pragnął przed stu laty wyrazić Emerson, gdy pisał: „Każda jednostka od chwili gdy wzrasta, gdy myśli, jest swą własną partją i sama dla siebie kościołem"?

„Dusza otwarta" w pojęciu Bergsona tem mniejwięcej różni się od „duszy zamkniętej", czem odkrywca i conquistador nowych krain, podróżnik zażywający upojnej radości swobody, różni się od społeczeństwa własnego, które opuścił w pogoni za Nieznanem. Gdy odkrywca nowych ziem powróci do ojczyzny, będzie miał ręce pełne nieznanych towarów, a usta pełne opowieści, jakich nikt inny nigdy nie wypowie, tylko on. Towary te i opowieści, ów łup wydarty z dłoni Nieznanego, a zarazem najistotniejsza treść wewnętrzna odkrywcy, stanie się udziałem społeczeństwa, cząstką złotego kapitału narodu, by później, okryta sławą, być okrzyczaną, jako nowy paragraf moralności społecznej, czyli „moralności zamkniętej", jak ją nazywa Bergson. Rzecz oczywista, że nie każdemu podróżnikowi po nieznanych krainach uda się zyskać we własnej ojczyźnie uznanie i tytuł jednego z ojców zbiorowej moralności. Większość „dusz otwartych" — to Kolumbowi następcy, uczniowie Kopernika, i naśladowcy Chrystusa, — szeregi pracowników, idących ubijać drogi i budować miasta na bezludziu, którem kroczył ongiś samotnie Genjusz, emersonowski Przedstawiciel Ludzkości, Drogowskaz Kierunku rozszerzania się Duszy.

Jakże oni niepodobni, jeden do drugiego, ci wysokopienni Przedstawiciele Ludzkości, jakże sprzeczni ze sobą i między sobą walczący? Oto Budda znieruchomiały na zewnątrz i jedynie w samej głębi wewnętrznej czuwający, a obok niego Mahomet na siodle i przy szabli. Oto Edison, Genjusz zapobiegliwości praktycznej i Rousseau — Drogowskaz powrotu do natury, Montaigne — Sceptyk i Swedenborg — wizjoner makabryczny, Machiavelli, ojciec polityki i św. Franciszek, brat ptaków niebieskich i przyjaciel włóczęgów.... Pośród niezliczonych, a jakże różnorodnych sprzeczności naszej normalności ogólnoludzkiej tem większe ma dla nas znaczenie wiedza rozszerzania się duszy jako probierz wartości i sprawdzian postępu. Ta wiedza radosna tłomacząca nam przeciwieństwa wzajemne przejawów jaźni, różnorodnością organizacyj psychicznych, rozmaitością typów inteligencji, a wreszcie obfitością poszczególnych etapów i kierunków rozwoju duszy, przemienia wyłączność w specjalizację, a walkę o niewzruszoność dogmatu we współzawodnictwo na jednokowo doniosłych i tylko pozornie sprzecznych polach i kierunkach rozszerzania się duszy. Spoglądając z tego punktu widzenia, zda się, że cała nauka i wszystkie wynalazki, sztuka, religja, świat rzeczy martwych podobnie jak świat dogmatów i wierzeń — to tylko ogromny, przebogaty aparat pomocniczy dla procesu rozrastania się jaźni.

*) W roku 1832 Ralph Waldo Emerson, porzuciwszy ostatecznie stanowisko pastora w Drugim Unitarjańskim kościele w Bostonie, wyrusza w swą pierwszą podróż do Europy. Podróż ta ma znaczenie symboliczne dla kultury amerykańskiej, gdyż w osobie Emersona, niejako cała Nowa Anglja odbywa swą „drogę powrotną" do Starego Świata, który opuściła przed dwustu laty, by za oceanem budować według wzorów Biblji utopijną „ojczyznę Pana Boga". Podróż młodego Emersona stanowi punkt wyjścia romantyzmu amerykańskiego, który będzie pierwszem samodzielnem wypowiedzeniem się kulturalnem wolnych Stanów Zjednoczonych. W czasie pierwszej podróży do Europy, młody Emerson przygotuje wewnętrznie swe późniejsze dzieła: „Natura", oraz „The American Scholar", uznane dzisiaj za religijną i intelektualną deklarację niepodległościową Stanów Zjednoczonych".

Natura i nauka przestaje niepokoić, a wywołuje w sercu i na ustach emersonowskie zdanie: — Podziwiam! — podziwiam bez ukrytych myśli sprzeciwu, jak naprz.: „Naturo, czuję się nieszczęśliwym wygnańcem na twej piersi", lub „Nauko, jesteś występkiem przeciw mądrości Boga". Rozszerzanie się duszy jest twórczem i radosnem potwierdzaniem Istnienia we wszystkich jego dziedzinach i we wszelkich jego przejawach.

Dwiema linjami prostemi, poziomą i pionową, możemy wykreślić dwa zasadnicze kierunki rozszerzania się duszy, jakie w swym „testamencie" rozróżnia Henryk Bergson. Linja pierwsza, pozioma — to materjalizm, — przedłużenie ludzkich utrudzonych nóg i rąk przepracowanych, czyli wiedza maszyn, a zarazem wiedza o wszystkiem, co mieści w sobie materjalny wszechświat, czyli od astronomji do bakterjologji włącznie. Linja ta, to jednocześnie monizm profesora Ostwalda i racjonalizm Russel'a. Biegnąca natomiast wzwyż linja pionowa, to psychologja przeradzająca się w sztukę, zakwitającą u szczytu błękitnemi kwiatami przeżyć mistycznych i ulatująca w nieznane jeszcze bezmiary białym motylem boskiej Metafizyki.

W swej ostatniej książce podąża Bergson pionowym szlakiem, a z podróży swej przesyła nam doniosłe potwierdzenie tezy, iż nawet na zawrotne wyżyny przeżyć mistycznych wiedzie droga po której uczony zbrojny w miarę, w cyrkiel, w wagę, przejść będzie mógł swobodnie. Nawołując do podjęcia ekspedycji naukowej na wzgórza mistyczne, woła Bergson zwysoka, że właśnie tam, na najszybszej górze spoczywa „filozoficzny kamień mądrości" poszukiwany od wieków, że właśnie tam, nie gdzieindziej znaleźć można w koronie podniebnych chmur klucz człowieczego istnienia. Tysiące głosów wielkich mistyków ludzkości z Emersonem na czele brzmią w okrzyku Bergsona: — „*Życie jest ekstazą!!!*"

A czemże jest ta Ekstaza?... Czy nie jest rozszerzeniem się duszy?...

★

Popatrzmy teraz jakże podobne krajobrazy roztacza przed nami książka znakomitego fizyka i astronoma, Jamesa Jeansa „The mysterious Univers, czyli „Tajemniczy Wszechświat".

Tak przywykliśmy uważać przestrzeń za bezmiar nieskończony, że czytając książkę Jeansa, w głowie nam nie może się pomieścić, iż wszechświat posiada krańce, iż przestrzeń jest skończona, iż w przybliżeniu można oznaczyć jej granice. Nie dosyć jednak na tem, — ostatnie badania naukowe wykazują, iż *wszechświat się rozszerza*, iż przestrzeń jest jedną ogromną gonitwą biegnących za sobą fal eteru, których krańcowe okręgi rosną, powiększają się bez końca.

Znów Ralph Waldo!... Na myśl się nasuwa sąd, jaki Emerson do spółki ze Swedenborgiem dzieli, a mianowicie, iż ludzka jaźń rozszerzająca się nieprzerwanie jest mikromierzem wszechświata.

Lecz o własny rozrost się troszcząc, nie zapominajmy o innych „Allez, rien n'est meilleur à l'âme que de faire une âme moins triste" (Verlaine). Rozpatrując smutek z punktu widzenia „absolutnej moralności duszy otwartej" dochodzimy do wniosku, iż jest on skutkiem zastoju wewnętrznego, gdyż ruch, czyli wzrastanie jaźni ma zawsze radość upojną za towarzysza. Aby pomniejszyć smutek innej duszy, umożliwiajmy jej wzrost, a będzie to jedyna pomoc skuteczna. Na całym świecie, jak długi i szeroki, stwarzajmy sobie biegłych i mocnych *współzawodników*, — będzie to jednocześnie pomoc najskuteczniejsza dla nas samych, dla naszego własnego rozszerzania się duszy, które nim do ekstazy dojdzie musi być walką ze wszystkiem.

Jerzy Życieński.

REFLEKSJE

CZTERDZIEŚCI DWA STOPNIE

Sądzę, że sukces p. Kusocińskiego nie wpłynął na reelekcję Polski do Rady Ligi Narodów. Chociaż w pewnych sferach sportowych zdają się uważać, że tryumfy sportowe mają dla Polski olbrzymie znaczenie, że podnoszą jej prestige i budzą największy szacunek.

Dużo dzieje się na świecie rzeczy, przeczących rozumowi, ale nie wszystko jeszcze uległo intelektualnej degradacji. Pewna część ludzi obstaje uparcie przy zdaniu, że sprawność muskułów nie jest najwyższą chwałą człowieka. Ta część, może ta cząstka, może nawet ta cząsteczka przyzwyczaiła się do myśli, że nie nogi, ale głowa winna być przedmiotem ambicji rodzaju ludzkiego. Głowa i to, co się w niej dzieje. Oczywiście, nogi też powinny być zdrowe, mocne i sprawnie spełniające swe zadanie.

W „Civitas Solis" Campanelli mamy orginalny system kar. Naprzykład sodomici muszą za karę nosić buty zawieszone na szyi — na znak, że odwrócili porządek natury. Możnaby tę karę zastosować do ludzi, którzy nogi awansują do godności najwyższej: odwracają pewien porządek w skali wartości ludzkich, która urabia się od tysięcy lat. Pod tym właśnie znakiem: największej ceny głowy.

P. Kusociński napracował się rzetelnie i nie za sługuje na to, żeby go tak okropnie ośmieszano. Kto wie, czy nie jest mu przykro, kiedy czyta, że „uratował honor Polski". Może ten zacny człowiek zdaje sobie sprawę, że jednak honor Polski ratują inne „wyczyny". Może nawet ma uczucie zażenowania, kiedy słyszy, że jest „naszą sławą". Bo jest różnica pomiędzy sławą a rozgłosem. Rozgłos to — Kusociński, a sława to, naprzykład, Curie-Skłodowska. Różnica. Niektórzy twierdzą stanowczo, że wielka różnica.

Kiedy sportowcy wszystkich narodów stają do zawodów, trzeba, żeby i Polska miała tam swych przedstawicieli. Każde też zwycięstwo sportowców polskich jest przyjemne. Niech będzie na świecie wiadomo, że na tem polu nie jesteśmy wtyle. Dobrze, w porządku. Ale nie widać tu powodu do szczęścia.

Świat sportowy zagalopował się w swych ambicjach. Osiąga nowy rekord: rekord nierozsądku. Stracił poczucie miary. Sięga za wysoko. Chce zakasować i w kozi róg zapędzić ducha, myśl, intelekt. Bardzo śmiały zamiar.

To przejdzie. To tylko stan gorączkowy. W tej chwili już czterdzieści dwa stopnie. Gorączka spadnie, wróci zdrowie, stan normalny. I znowu sport zajmie swoje godne miejsce: Im prędzej, tem lepiej. Przedewszystkiem dla studjującej młodzieży, która znowu odczuje pewien dystans pomiędzy bieżnią czy boiskiem, a książką i salą wykładową.

Widz.

POWIEŚĆ O „PIATILETCE"

Człowiek, odgrodzony od reszty społeczności ludzkiej barjerą własnego, ciasnego egoizmu, staje się nietylko śmieszny, lecz i — nudny. Nie chcemy już wiedzieć, czy Numa wyszła za Pompiljusza i co z tego wynikło dla nich obojga. Godzimy się wysłuchać ich prywatnej historji jedynie wówczas, gdy ma ona jakiś głębszy, ogólnoludzki sens. Nie chcemy plotki o życiu, lecz — prawdy i to prawdy obejmującej horyzont jaknajszerszy.

Nie licząc wielu dygresji, książka Borysa Pilniaka: *„Wołga wpada do morza Kaspijskiego"* — obejmuje tylko jeden dzień, ale dzień ten jest bogaty i pełny.

Tym razem Pilniak obrał sobie świat inżynierski za temat i porusza się w nim ze swobodą zawodowca. Naukowa strona jego książki jest ścisła jak podręcznik, ale niemniej żywa, gdyż — entuzjasta nauki — Pilniak umie łączyć piękno wiedzy z wiedzą o pięknie.

Osnową powieści jest budowa monolitu — olbrzymiej tamy u zbiegu Oki i Moskwy, mającej zmienić kierunek prądu tych rzek, by umożliwić transport wodny do stolicy. Wokół budowy monolitu grupują się różni ludzie, a praca tak doniosła dla przyszłości, zespala ich nie gorzej, niż najściślejsze związki krwi.

Najstarszy z monolitowej rodziny, to twórca projektu budowy tamy — profesor Polietika. Postać tego arcydobrego człowieka odbiega jaknajdalej od jakiegokolwiek schematu, chociaż profesor ma sporo cech charakterystycznych dla swego sędziwego wieku. Mimo, że stale chodzi w surducie, nigdy nie jeździ autem i uważa powolność „za jedną z zasadniczych cech postępu", Polietika jest szczerze, gorąco zespolony z ideologją swego państwa, jako takiego, które świadomie tworzy historję. Wplecenie w sprawy ludzkie znakomicie oczyszcza z wszelkiego rodzaju egocentryzmu, to też profesor nawet w złości staje się bardzo dobroduszny: gdy słyszy, jak drugi inżynier zaczyna rozwijać j e g o słowami, j e g o własną, drogą mu teorję — zalicza to poprostu do „powtarzalności zjawisk".

Pięknie oddana jest scena, kiedy Polietika zatrzymuje się w Moskwie i idzie zobaczyć cerkiew, w której przed laty brał ślub. Jakby to było wczoraj, w pamięci profesora staje żona, której czarne oczy „jaśniały jak błękitne niebo rosyjskie". Z czasem — odeszła do niego z korepetytorem syna. A teraz, po latach, przy wznoszeniu tamy, której inicjatorem jest Polietika — pracuje Laszlo, ów korepetytor. Nad tym zbiegiem okoliczności staruszek umie się zadumać. Niema w nim buntu, ani protestu. Stwierdza prostą konieczność życiową. Pewną paradoksalność życia. Zresztą — przy budowie monolitu ważnym może być tylko monolit.

Jest jakaś radość w fakcie, że taki człowiek, jak Polietika ma taką córkę, jak Lubow. Mówi się o niej w książce niewiele, lecz wie się ogromnie dużo. Ta gorliwa i szczera komunistka uważa miłość za synonim czystości, niepodzielności, poświęcenia. Gdy Lubow widzi, że ukochany człowiek nie zdobędzie się dla niej na rozwód, ma siłę zerwać z nim ostatecznie.

Tkwi w niej nie pruderja dziewictwa, lecz — duma kobieca, niezdolna do kompromisów idących tak daleko, jak oddanie się człowiekowi, któryby musiał się z tem ukrywać przed światem i żoną.

Jest jakaś tragiczna ironja w fakcie, że taka dziewczyna, jak Lubow, pokochała takiego człowieka, jak Połtorak. Połtorak połyskując rzędem złotych zębów i, mimo, że jest czysty — wywiera wrażenie „brudnej lepkości". Nie wierzy w powstanie czegokolwiek bez rozlewu krwi. Jego niewybredna erotomanja, to zwykła patalogja. Połtorak „choruje na kobiety". Kiedy przewozi konającą na suchoty siostrę żony — bierze ją w przedziale sypialnego pociągu i w danej chwili kocha ją prawdziwie straszliwem uczuciem, przepełnionem świadomością śmierci. Jego rozmowa z chorą, poprzedzająca miłosne uściski, wieje grozą duszy rosyjskiej, w której tają się wszelkie śmiertelnie ponure możliwości, tak doskonale zespolone z szaleńczą żądzą życia.

Druga kochanka Połtoraka, również charakterystyczna dla jego psychologji, to komunistka Wiera. Z nią zamyka się w numerze prowincjonalnego hotelu, w którem wszystko staje się „kancelarją namiętności". Tam, wśród otchłannych pocałunków prowadzą otchłanne rozmowy. Wiera zwierza się kochankowi, że jest w ciąży, ale nie pozbędzie się płodu właśnie dlatego, że nie wie, kto jest ojcem przyszłego dziecka. Chce je mieć bezimiennie. Na wyłączną własność. Chce, by było dzieckiem Rewolucji. Kiedy wreszcie Wiera udaje się do lekarza, by upewnić się co do ciąży — dowiaduje się równocześnie, że jest ciężko zarażona, również — niewiadomo przez którego z towarzyszy.

Inżynier Połtorak należy do niszczycielskiej spółki, która zamierza wysadzić monolit w powietrze. Ale Pilniak nie umie i nie chce odtwarzać ludzi złych zbyt prostolinijnie. Jego ujemne postacie, przeciwstawione dodatnim, są to poprostu ludzie chorzy psychicznie: wykolejeńcy i degeneraci, którym łatwiej skończyć śmiercią samobójczą, niż popełnić zbrodnię zrujnowania wielkiego dzieła. Tak też kończy inżynier Połtorak.

Dom, jaki stworzyła Olga, matka Lubwi i niegdyś żona profesora Polietiki, był domem pełnym cichego szczęścia. Śmiano się tam rzadko, jak zresztą rzadko śmieją się ludzie, zajęci wielką budową, ale za to uśmiechano się często i przyjaźnie. Olga kochała swego drugiego męża, inżyniera Laszlo, a on kochał ją i małą Lizę, którą mu dała, jako żywy wyraz wielkiego miłowania. Olga była dla Laszlo nietylko żoną, kochanką i przyjacielem — była mu jeszcze właśnie tą radosną siłą, jaka kryje się w uśmiechu. Wbrew logice uczucia — taką kobietę zdradza się łatwo. Pożycie z nią jest nacechowane zbyt wielką gwarancją spokoju, zbyt twardą rękojmią wierności z jej strony, żeby starczyło za całkowitą podnietę do pracy, która jest zarazem twórczością. Ale zrzec się takiej kobiety niepodobna, jak niepodobna zrzec się uśmiechu.

Laszlo miał kochankę. Była nią Marja, żona Sadykowa. Sadykow oddał się pracy tak dalece bez reszty, iż nie zdążył powiedzieć Marji, że ją kocha. Ten mimowolny chłód rzucił młodą kobietę w obję-

cia Laszlo, który promieniował radością przez sam fakt posiadania takiego domu, jaki posiadał.

Kiedy Sadykow odkrył romans żony, postąpił „okrutnie i szlachetnie": kazał Laszlo poślubić Marję. I tu zaczyna się prawdziwy dramat. Dramat ludzi stojących na tej samej platformie etycznej, a zarazem — na różnych platformach uczuciowych. Marja, która jako kochanka, była dla Laszlo miła i swoja — jako żona stała mu się daleka i obojętna, głównie — obca tem wszystkiem, czem Olga była mu bliska. Człowiek może zasłonić drugiemu człowiekowi cały świat, jak się słońce przysłania dłonią. Gdy Laszlo przypomniał sobie głos, słowa, włosy i ręce Olgi, aż boleśnie czuł wówczas, jak bardzo ciężyła mu Marja. Ale Marja kochała go, wiedziała o tem. Czynił więc nadludzkie wysiłki symulowania uczucia i „zamiast prawdziwą krwią — szalał śniegiem".

Taki stan rzeczy nie może trwać. To śmierć, która razem z sercem, podchodzi do gardła i dusi. Pierwsza nie wytrzymała Marja, mimowolna sprawczyni nieszczęścia, i powiesiła się.

Nowa moralność jest w swem okrucieństwie niewątpliwie szlachetna, lecz zarazem jest w swej szlachetności jeszcze bardziej okrutna. A może poprostu życie nie da się wtłoczyć w ramy ogólnego prawidła. Można odwrócić nawet bieg rzeki, przy pomocy tamy, ale biegu istoty życia nie odwróci nic.

Liczne dygresje, charakteryzujące książkę Pilniaka, są niejako zestawieniem dwóch przekrojów: Rosji wczorajszej, na którą „patrzeć straszno, lecz patrzeć trzeba" i Rosji dzisiejszej, smutnej i bezładnej, jak każda wznosząca się z odmętu budowla. W zwierciadle przeszłości przegląda się teraźniejszość. „Wczoraj" była groza ciemnoty, a „dziś" — baby mierzą sznurkami stare, walące się chaty, które mają być przeniesione na inne miejsce, bo po ukończeniu tamy woda zmieni kierunek i zaleje wieś. Baby mierzą stare chaty ze strachu, by nie dano im wzamian domów nowych, europejskich. „Dziś", tak samo, jak „wczoraj", stary kustosz przez udrękę samotności pije do drewnianego Chrystusa. „Dziś" wreszcie włóczęga Ożogow ma dalej tylko psa za przyjaciela.

Włóczęga ów przewija się poprzez całą książkę, jak rodzaj smętnego leitmotywu. Równie często jest mowa o starej baszcie Maryny Mniszek — która jest czemś w rodzaju symbolu zmurszałej przeszłości. Kiedy, po ukończeniu tamy, woda poczęła zalewać ową „przeszłość" i ową „teraźniejszość" — pęd jej wchłonął i basztę i ciało włóczęgi.

Na te symboliczne narodziny lepszego jutra mały chłopczyk Misza patrzył, jak na rzecz zupełnie zwykłą. Powstawała nowa epoka, a wraz z nią — powstawał nowy człowiek.

Parę minut przed śmiercią Laszlo powiedział: „Te łąki zostaną zalane i zalane zostaną wszystkie nasze bóle. Wszystkie nasze sprawy, to głupstwo, bo wszystko to zniknie". — I Laszlo się zabił. A był z tych, którzy żyją „poto, żeby działać, żeby umierać za to, co robili". Można odwrócić bieg rzeki, ale biegu istoty życia nie odwróci nic.

Jakikolwiek nadanoby kierunek jej dopływom — Wołga zawsze wpadnie do morza Kaspijskiego.

Marja Milkiewiczowa

STARZY I MŁODZI

W Amerykańskiem Towarzystwie Psychologicznem w N.-Jorku wygłosił profesor Walter R. Miles z uniwersytetu Jale bardzo interesujący odczyt na aktualny dzisiaj temat: *co mają robić ludzie starsi?*

Temat to charakterystyczny dla naszej epoki, dla społecznego ustroju, w którym, przy panującej racjonalizacji i mechanizacji pracy, ludzie zużywają się szybko i w pełni wieku otrzymują „wilczy bilet" inwalidy życiowego. To z jednej strony, a z drugiej — gwałtowny nacisk ze strony młodych generacji, wchodzących na arenę życiową, pęd ku pozbawieniu pracy ludzi starszych, którzy zamykają im drogę do zarobku w okresie bezrobocia.

Profesor W. R. Miles stwierdza tymczasem na podstawie przeprowadzonych przez siebie 836 obserwacji z osobami w wieku od 10-ciu do 95-ciu lat, iż 25% badanych osobników w wieku powyżej 80 lat mogło wykonywać pracę umysłową równie dobrze i w tem samym stopniu co ludzie, należący do grupy liczącej ponad 50 lat. Dalej zaś prof. Miles twierdzi, iż ludzie z grupy pracowników umysłowych, w wieku od 50 do 60 lat, pracują lepiej i pewniej, niż ci z grup młodszych. Przeciwstawia się również profesor powszechnie panującej w Ameryce tendencji do zwalniania z zajęć w przemyśle i handlu ludzi, liczących więcej niż 40 lat, twierdząc, iż jest to gospodarka wręcz przeciwna zasadom rozsądnej racjonalizacji, a zarazem wynikom doświadczeń fizjo i psychologicznych.

Poruszony przez prof. Milesa problemat wybiega dzisiaj daleko poza granice dyskusji naukowej. W krajach uprzemysłowionych, uginających się pod brzemieniem bezrobocia, a posiadających spory przyrost ludności, problemat ten przedstawia się w postaci brutalnej walki między starą a młodą generacją pod hasłem: „Ote toi, que je m'y mette".

TEATR

«CZARNE GHETTO« E. G. O' NEILLE'A W TEATRZE »NOWE ATENEUM«

„Czarne Ghetto" obrazuje tragiczne konflikty rasy czarnej i białej w Ameryce. Sprawa to ohydna i bolesna. Murzyn w opinji amerykańskiej — to nie człowiek. To bydlę o pozorach ludzkich, gatunek małpy antropoidalnej, budzący wstręt i pogardę. Wiemy, że obywatelstwo amerykańskie murzyna jest jedną wielką fikcją. Murzyn pomimo wszelkich wysiłków, bogactwa, walorów umysłowych, pozostaje zawsze bękartem ojczyzny, niema dla niego stanowiska, urzędu, szkoły ani kościoła, niema miejsca między białymi ludźmi, niema nawet białego Boga. Krzywda czarnej rasy jest najbardziej haniebną plamą na wolnej ziemi Waszyngtona.

O'Neille ujął ten konflikt nie od strony socjalnej, jak to czyni większość humanitarystów, lecz jako zagadnienie par exelence rasowe.

Wprawdzie jako tragiczny motyw przewija się w sztuce pieśń uciemiężonego ludu: „Miljony czarnych braci mych niewoli smaga bat", wprawdzie pieśń ta przypomina niedolę i nieludzki wyzysk czarnych parjasów, ale jest ona tylko dekoracyjnym motywem pomyślanym przez Schillera, zresztą bardzo szczęśliwie.

Jednak jądro konfliktu leży gdzieindziej. Jest niem poprostu uprzedzenie rasowe białego człowieka do czarnego, wstręt fizjologiczny, pierwotny, żywiołowy, tak silny, że żadne rozumowanie nie zdoła go ukrócić.

Bohater sztuki, Jim, jest bogaty, dzielny, szlachetny i mądry. Ale nic mu to nie pomoże. Najcięższa praca, największe wysiłki nie otworzą przed nim uniwersytetu. Biała dziewczyna, Elli, którą kocha i którą ratuje z tragicznej sytuacji życiowej, której szczęściu poświęca całe życie, zgadza się zostać jego żoną, ale pozostaje mu tylko siostrą; padła mu w ramiona jedynie dlatego, że była samotna i opuszczona, że potrzebowała pomocy i oparcia, ale niepokonana odraza nie pozwala jej oddać się swemu czarnemu małżonkowi.

Elli widzi, jak wielkiej wartości człowiekiem jest Jim; mówi sama, że on jest jedynym człowiekiem białym, człowiekiem o białej duszy, podczas gdy wszyscy biali, których zna, są brudni. A jednak podczas śmiertelnej choroby, gdy mózg jej błądzi w gorączkowych oparach majaczeń, wypływa z głębi podświadomości daremnie ukrywana nienawiść do „czarnego" i Elli krzyczy głośno, namiętnie, wielokrotnie do męża: ty brudny murzynie! ty brudny murzynie!

A skoro tak, skoro ta nienawiść jest tak mocna, tak najgłębiej zakorzeniona, to Jim pozostanie na zawsze niewolnikiem swej czarnej skóry. I niewolnikami jej pozostaną miljony jego czarnych braci.

...Murzyn wolny będzie tylko w niebie" — płynie nieskończenie smutna pieśń czarnych parjasów.

Przepaść między rasą czarną i białą jest nie do przebycia — zdaje się mówić autor. Z sytuacji tej niema żadnego wyjścia. Sztuka kończy się akordem beznadziei, rezygnacji i rozpaczy.

I to jest jej strona ujemna. Wskutek niej „Czarne Ghetto" jest wprawdzie wartościowym utworem faktograficznym, ale nie daje waloru ideowego.

„Czarne Ghetto" ma jednak jeszcze inną wymowę psychologiczną i społeczną. Jest w niem pokazany nietylko obraz ucisku murzynów przez białego człowieka. Symbolicznie jest to obraz wszelkiego gwałtu, bezprawia, ucisku i bezkarności silniejszych, którzy wydają się sobie lepsi i wyżsi od słabych i bezbronnych. Pokazana jest pogarda tłumu dla tego, kto ponad ten tłum wyrasta i pokazane jest mieszanie z błotem uczuć najpiękniejszych. I jeszcze jedno, może najważniejsze podłoże konfliktu ras: pełna pogardy niechęć, wzmagająca się aż do nienawiści względem człowieka różnego od nas, tylko dlatego właśnie, że jest inny.

Sztuka O'Neille'a mówi o niedoli czarnych parjasów, ale daje pole do szerokich analogji. Parjasem bywa nietylko murzyn.

„Czarne Ghetto", choć nie wskazuje żadnych pozytywnych rozwiązań, przez swą wymowę symboliczną kieruje myśl naszą w stronę wielu innych krzywd społecznych i budzi reakcją humanitarną. To też dobrze się stało, że tę sztukę wystawiono.

Jadwiga Baranowska.

TAK BYŁO W ŚREDNIOWIECZU

Uniwersytety średniowieczne były międzynarodowe w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. W Kordobie kształcił się pod kierunkiem *alfaqui'ch* muzułmańskich kwiat chrześcijańskiej młodzieży, w uniwersytetach zaś Bolonji i Paryża wszystkie narody europejskie reprezentowane były zarówno przez słuchaczów, jak i wykładowców.

Rzesze studentów wędrowały swobodnie z miasta do miasta, z kraju do kraju, stanowiąc potężny czynnik jedności kulturalnej ówczesnego świata. Z czasem na wszystkich europejskich wyższych uczelniach zapanował jeden język międzynarodowy — łacina, a każdemu profesorowi przysługiwało *„ius ubique docendi"*, prawo nauczania na każdym uniwersytecie w każdym kraju. W okresie wojen nie wolno było przerywać pracy naukowej zarówno wykładowcom, jak i studentom, wszelkie zaś organizowanie młodzieży w korporacje, o charakterze narodowo - politycznym, były surowo i bezwzględnie karane.

Ustrój uniwersytecki zapewniał równość praw, tak studentom - tuziemcom, jak obcokrajowcom, nawet w wypadku, gdy ci ostatni byli przybyszami z sąsiedniego państwa, z którem dany kraj był na stopie wojennej. Wszelkie naruszenie praw uniwersyteckich przez władze państwowe, stosowanie represyj, czy nawet poprostu niechęci w stosunku do studentów - obcokrajowców, powodowało zamknięcie uczelni na znak protestu, wskutek czego zamierało na czas pewien życie intelektualne miasta, w poważniejszych zaś wypadkach, całego kraju, gdyż wzajemna solidarność poszczególnych jednostek uniwersyteckich była podstawą całego ich znaczenia.

Braterskie stosunki, panujące przez parę wieków śród studentów różnych narodowości, podobnie, jak supremacja ściśle naukowych celów istnienia korporacyj akademickich, a także znaczenie języka międzynarodowego, — wszystko to poczęło psuć się i gasnąć z początkiem XV stulecia. Walki religijne, wojny zaborcze i stosowanie represyj wobec mniejszości narodowych wtargnęło ostatecznie do wnętrza wyższych uczelni, sprawiając, iż przestały być one świecznikami tolerancji, braterstwa i jedności kulturalnej świata.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Jesteśmy w pełni okresu genewskiego. Wielki instrument budowy pokoju na świecie skrzypi i treszczy. Kryzys na Zgromadzeniu Ligi ujawnił się w tem, że w debacie nad sprawozdaniem zabrali głos początkowo tylko „mali członkowie", a wielcy milczeli. Aby ratować honor domu, Ligi, zjawił się na trybunie p. Herriot i wygłosił piękną mowę o konieczności wychowywania młodych pokoleń w duchu pokojowym, powoływał się na przykład Francji, która to już czyni.

O mowie tej napisał socjalistyczny „Le Populaire" poprostu tak: „Niepotrzebna mowa" („Un discours inutile" nr. z d. 30.IX). Za niepotrzebną uważa ją dlatego, że na przykładzie zatargu Japonji z Chinami okazała się całkowita bezsilność Ligi Narodów.

W tym samym czasie mniej więcej ukazał się 600 stronicowy raport lorda Lyttona o Mandżurji. Z wysuniętych w nim 10-ciu punktów, które komisja pragnęłaby uwzględnić w swojej opinji, widać, jak trudne, a chwilami zbliżone do kwadratury koła, zadanie ma przed sobą Liga. Zacytujemy z 10 punktów tylko parę, a rzecz będzie oczywista:

1) Uwzględnić interesy Chin i interesy Japonji,

4) uwzględnić prawa i historyczne stosunki Japonji w Mandżurji,

7) rząd Mandżurji musi być tak utworzony, aby suwerenność Chin była uszanowana, a autonomja kraju jaknajszersza...

Łatwo to powiedzieć, ale jak to zrobić? Widzimy na przykładzie Irlandji, nawet w warunkach o wiele lepszych, niż mandżurskie, że połączenie suwerenności W. Brytanji z niezależnością Irlandji nie jest łatwe.

Tymczasem Lytton proponuje uwzględnienie wszystkich interesów, a Japonja — „uwzględnia" tylko swoje własne.

Cóż dziwnego, że w cytowanym artykule „Le Populaire" pisze: „Jakże p. Herriot chce, żeby szeroka opinja publiczna interesowała się Ligą i entuzjazmowała się nią, kiedy pozwala ona, aby jeden z jej członków gwałcił jawnie i otwarcie pakt Ligi".

Dla nas sesja krytyczna była o tyle pomyślna, że Polska ponowie zyskała prawo reelekcji i po raz trzeci została wybrana ogromną większością (48 przeciw 4) do Rady.

Z wielkiej powodzi artykułów na temat tego niewątpliwego sukcesu warto zanotować uwagę „Gazety Polskiej" (Nr. 274):

„Polska nie jest mocarstwem w tem znaczeniu, jak W. Brytanja, Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy — i dalej Włochy, Rosja, Japonja. Polska nie jest bowiem jeszcze państwem o nieograniczonych interesach".

Cenna uwaga. Oby trafiła do Legji Mocarstwowej i innych tego rodzaju krzykliwych, a kosztownych organizacji. Bo „mocarstwowość" nie rozstrzyga o życiu narodów, o poziomie ich kultury, o pomyślności szerokich mas społecznych.

Przekonał się o tem m. i. podróżujący po Europie dla przekonania się o losach kryzysu Knickerbocker. W dalszej serji swoich wywiadów na ten temat zawitał do Mussolini'ego i do największego bankiera Belgji p. Francqui.

Dyktator Włoch nie deklamował nic o mocarstwowości Italji, o wielkich planach przywrócenia dawnego Rzymu. Oświadczył: trzeba znieść barjery celne i oszczędzać. Kryzys nie jest tak wielki, jak to powszechnie się mówi, tylko poziom potrzeb szerokich mas jest wyższy, niż dawniej i dlatego kryzys wydaje się bardziej dotkliwy.

Tak skromnie mówił II Duce na temat, nietylko naród włoski, ale wszystkich interesujący. Skromność ta jest poniekąd dowodem bezradności.

Trzeba jednak przyznać, że jeszcze więcej tej bezradności wyziera z długich wynurzeń p. Francqui'ego.

Wywodzi on w rozmowie z p. Knickerbockerem („Vossische Zeitung" 1 i 2.X) że trzeba, aby banki emisyjne wydały złotowe certyfikaty („Goldzertifikate") dla banków państw naddunajskich, ściśle te banki kontrolować, a pozatem utworzyć międzynarodowy bank redyskontowy. Gdy to będzie zrobione, stopniowo (nie odrazu) Europa ożyje. Może pomysły finansowe p. Francqui'ego są bardzo cenne i mądre, ale jakoś trudno nabrać wiary, że parę bardzo nawet skomplikowanych operacji bankowych uleczy rany ustroju społecznego Europy.

**
*

Objawy reakcji politycznej walczącej o ugruntowanie na czas dłuższy swojej władzy mają wszędzie podobne objawy.

A więc np. — bojkot komisji stałych rozwiązanego Reichstagu, proklamowany z wielką gwałtownością, a potem stawienie się członków rządu z von Papenem na czele w charakterze świadków przed stałą komisją ochrony praw parlamentu.

Widać z ich zeznań, że chciałoby się zlikwidować parlament za jednym zamachem i pozbyć się tego kłopotu, raz na zawsze, a jednak... nie można.

Pogarszając stan klasy pracującej, jednocześnie rządy von Papena usiłują skierować uwagę narodu na zagadnienia zupełnie nieaktualne, narażając się na śmieszność, której nie czują.

W dziedzinie socjalnej ukazuje się np. rozporządzenie, które na mocy takiego to, a takiego dekretu pozwala przedsiębiorcom obniżać płace, bez zrywania umowy zbiorowej.

Z pomocą „wyjaśnienia" burzy się jedną z podstawowych zdobyczy klas pracujących: umowę zbiorową.

Jednocześnie sypią się jak z rękawa rozporządzenia rządu komisarycznego Prus o obyczajności publicznej. Np. z dniem 1 listopada r. b. zostaje ustawowo określony ściśle kostjum kąpielowy w Prusach. Humorystyczny ten rozkaz w par. 1-ym m. in. opiewa: „Wycięcie z tyłu kostjumu kąpielowego kobiet nie powinno przekraczać dolnego końca łopatek".

Walcząc z hitlerowcami w parlamencie, rządząca reakcja pobłażliwie spogląda na ich antyhumanitarną akcję w innych dziedzinach.

A do czego dochodzi ona, ilustruje ogłoszony przez „Vorwarts" dokument z biurowości hitlerowskiego rządu lokalnego w Anhalcie.

Wdowa po zamordowanym przez hitlerowców socjaliście Feuerhardt'cie domagała się od rządu anhalckiego sprawiedliwości. Otrzymała odpowiedź, w której, oprócz zawiadomienia, że dochodzenie trwa, prokurator donosi wdowie: „Zresztą śmierć pani męża została spowodowana przez niego samego".

Nowy sposób tłomaczenia morderstw!

**
*

Przedostatni minister spraw zagranicznych caratu Pokrowskij, który zmarł niedawno na Litwie, pozostawił po sobie pamiętniki, które wdowa ogłasza obecnie w gazetach rosyjskich.

Pokrowskij przypomina, jak w dn. 26 listopada 1916 r., w dniu obchodu święta Św. Jerzego, książę Oldenburski zgromadził w Domu Ludowym około 25.000 kawalerów orderu św. Jerzego; sprowadził tam cara z carycą i następcę tronu.

— „Entuzjazm kawalerów orderu był niesłychany — pisze Pokrowskij — 25000 ludzi wołało w jeden głos — „hurra!" „I wówczas już pomyślałem, że zapewnie car śmieje się ze wszystkich pogróżek rewolucjonistów, widząc takie przywiązanie do siebie, a nie liczy się wcale ze zmiennością nastrojów tłumu. Wogóle rządzący, kimkolwiek są, cesarzowie, prezydenci, bolszewicy, czy wodzowie nie powinni nigdy unosić się z powodu manifestacji mas. Nastroje tłumu są niezwykle zmienne".

St. Gr

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Pierwszy wyłom w wysokich od dłuższego czasu, pomimo ogólnego zubożenia społeczeństwa niezmienianych cenach wyrobów monopolowych i skartelizowanych, został uczyniony. Dzięki interwencji rządu obniżono ceny spirytusu konsumcyjnego i wódek w granicach od 25 do 40%, cenę cukru o 20 gr. na kg. i wreszcie od 10 do 15% ceny tańszych tytoni i papierosów, używanych głównie przez ludność wiejską i robotniczą.

Obecnie rozpatrywana jest w łonie rządu sprawa obniżenia cen soli i zapałek, a dalej — artykułów skartelizowanych, przedewszystkiem żelaza, nafty, węgla i drożdży.

Rząd interwenjując w sprawie obniżki „sztywnych" cen, kierował się myślą dostosowania ich do zmniejszonej zdolności nabywczej społeczeństwa, jakoteż przywrócenia równowagi pomiędzy cenami artykułów rolniczych i przemysłowych. Rozwiązanie tego zagadnienia stanowiłoby po wprowadzeniu niedawno znacznych ułatwień w dziedzinie regulowania długów i podatków, dalszy poważny krok na drodze ulżenia ciężkiej sytuacji ludności wiejskiej, sięgającej 73% ludności Polski.

Sprawa obniżenia cen artykułów skartelizowanych wywołała żywą dyskusję na łamach prasy. Dyskusja przeniosła się na teren centralnych organizacyj przemysłowych i rolniczych, związków robotniczych, oraz klubów poselskich. Redukcji cen żąda zwarty front konsumentów z rolnictwem na czele, oponuje zaś przeciwko niej — rzecz oczywista — przemysł skartelizowany.

Rolnicy uważają, że walka z kryzysem rolniczym, który trwa w Polsce prawie nieprzerwanie już od roku 1929, winna polegać z jednej strony na stosowaniu środków, zmierzających do podniesienia cen osiąganych przez rolnika za sprzedawane produkty rolne, a z drugiej strony do obniżenia kosztów produkcji i kosztów utrzymania jego rodziny. W kosztach tych poważną pozycję stanowią wydatki na zakup artykułów monopolowych i skartelizowanych, których ceny utrzymują się na poziomie niewspółmiernie wysokim w porównaniu z cenami produktów rolniczych i wytworów przemysłowych nieskartelizowanych. Ponieważ ceny produktów rolniczych w porównaniu z rokiem 1929 spadły prawie dwukrotnie, a ceny artykułów skartelizowanych utrzymują się od szeregu lat bądź to w granicach stałych, bądź też obniżyły się tylko nieznacznie, wieś przestała być konsumentem wyrobów przemysłowych, nie kupuje maszyn i narzędzi rolniczych (drogich wskutek wysokiej ceny żelaza), używa coraz mniej nawozów sztucznych, buduje domy z drzewa i kryje dachy słomą, zarzuciwszy blachę, cegłę i dachówkę, bardzo rzadko nabywa odzież i obuwie. Ciężki kryzys gospodarczy i dysproporcja między cenami produktów rolnych a podstawowych wyrobów przemysłowych, sprawiły, że rolnik przestał kupować już nawet artykuły najniezbędniejszej potrzeby.

Senator Józef Wielowieyski, wiceprezes Rady Naczelnej Organizacyj Ziemiańskich w wywiadzie dziennikarskim stwierdził, że „wskaźnik cen hurtowych, przyjęty w roku 1928 za 100, wynosi obecnie dla surowców i półfabrykatów przemysłu skartelizowanego 103.3, dla pozostałych już tylko 50,8, dla artykułów sprzedawanych przez rolników 49, a dla surowców i półfabrykatów przemysłowych uzależnionych od zagranicy zaledwie 39,8, przy równoczesnem wskaźniku ogólnym cen hurtowych 65.4. Te rażące dysproporcje świadczą, że przemysł skartelizowany uprawia politykę „trzymania cen" na dogodnym dla siebie poziomie bez dostatecznego oglądania się na ceny inne i bez względu nawet na fatalne skutki, jakie stąd wynikają w postaci gwałtownego kurczenia się produkcji przemysłowej.

Rolnictwo polskie, mimo katastrofalnie niskich cen, nietylko nie ogranicza swej produkcji, ale nawet stara się w ilościowem zwiększeniu szukać pokrycia strat, wynikłych z cen niskich. Po trzechletnich niemal bezskutecznych próbach podniesienia poziomu cen rolnictwo poczyna rozumieć, że produkcję swą kalkulować musi na niższym poziomie i dostosowuje się do tego za bolesną cenę likwidowania słabszych jednostek i skrajnych ograniczeń w życiu domowem rolników, równających się nieraz skrajnej nędzy."

Przemysł skartelizowany twierdzi, że nie jest w stanie obniżyć narazie ceny swych wytworów i że jedynym realnym sposobem redukcji cen jest obniżenie składników kosztów własnych, które wobec poważnego obniżenia się zbytu, wywołanego kryzysem, ciążą szczególnie dotkliwie na kalkulacji produkcji. Do tych kosztów własnych należą: płace robotnicze i urzędnicze, świadczenia socjalne, koszty kredytu, przewozy kolejowe, podatki.

Przemysłowcy uważają, że płace w przemyśle są wybitnie „sztywne". Sztywności płac dowodzi — ich zdaniem — fakt, że obliczany przez Instytut Badania Konjunktur wskaźnik płac (biorąc za podstawę rok 1927 — 100), obniżył się ze 121,3 w roku 1930 do 116,9 w pierwszym kwartale b. r., t. zn. tylko o 4%. Jeżeli zaś przyjąć rok 1928 za 100, to okaże się, że obecne płace w kopalniach węgla na górnym Śląsku stanowią 105,3, w Zagłębiu Dąbrowskiem 110,4, w przemyśle cementowym 115,6 i w warszawskim przemyśle metalowym 104,7. Dalej, przemysłowcy skarżą się na wysokie ubezpieczenia społeczne, na system podatkowy, który wymaga gruntownej reformy, zarówno co do swej konstrukcji, jak i wysokości poszczególnych świadczeń. Jako argument przeciw zniżce cen kartelowych, przemysł wysuwa wysokie taryfy kolejowe, utrzymujące się pomimo ogólnej zniżki cen towarów od roku 1929 na mało zmienionym poziomie.

Argumenty takie, jak „sztywne" płace robotnicze, co do których możnaby zresztą dyskutować, ponieważ w całym szeregu przemysłów nastąpiła w ostatnich latach znaczna i kilkakrotna obniżka zarobków, nie są przekonywujące, przy niskim poziomie płac robotniczych w Polsce, *dalsza redukcja zarobków jest wykluczona*. Jeśli natomiast chodzi o reformę systemu podatkowego, potanienie kredytów, obniżenie taryf kolejowych — czynniki rządowe winne w tym kierunku przedsięwziąć odpowiednie kroki, któreby przyczyniły się do redukcji kosztów własnych przemysłu i rolnictwa.

Reformy rządu nie mogą jednak nastąpić szybko. Sprawy te są bowiem zbyt poważne, ażeby można je było załatwić z dnia na dzień. Dlatego też zanim to nastąpi, przemysł skartelizowany winien jeszcze raz przeprowadzić dokładną kalkulację kosztów produkcji, która niewątpliwie wykaże, że obniżka cen nawet w obecnych warunkach jest możliwa, zwłaszcza, że ew. powiększenie obrotów, wywołane potanieniem wyrobów, nagrodzi im w znacznej mierze redukcję cen.

Obniżenie cen wyrobów skartelizowanych i monopolowych nie wyczerpuje jednak akcji w kierunku ulżenia konsumentowi. Rząd i społeczeństwo muszą rozpocząć bezwzględną walkę ze zbyt wybujałą rozpiętością cen, która uwydatnia się szczególnie przy artykułach rolnych. Rozpiętość między cenami płaconemi producentowi, a cenami płaconemi za artykuły w detalu przez konsumenta, w ostatnich latach pomimo kryzysu nietylko nie zmniejszyła się, lecz przeciwnie nawet wzrosła. Widzimy to ze wskaźników, dotyczących artykułów producenta, a więc np. żyta, pszenicy i świń i artykułów przetworzonych, np. chleba, mąki, mięsa wieprzowego, wędlin etc.

Wzrost rozpiętości między artykułami rolniczemi u producenta, a pochodnemi artykułami, ulegającemi przetworzeniu, jest wynikiem tego, że spadek cen surowych artykułów rolniczych, a więc zbóż, świń i t. p. był znacznie silniejszy, aniżeli spadek cen produktów rolniczych w detalu. Poważną część spadku cen rolniczych pochłonęły nadmierne koszty pośrednictwa i przerobu, wzrastające mimo ogólnej zniżki cen.

Zmniejszenie łańcucha pośrednictwa i zapewnienie konsumentowi miejskiemu tanich artykułów spożywczych stanowi w dobie obecnego kryzysu i ogólnego zubożenia ludności, narówni z redukcją cen wyrobów monopolowych i skartelizowanych, naczelne zadanie rządu i społeczeństwa.

Alfred Wilecki.

Od Redakcji. Ze względu na aktualność i doniosłość zagadnienia polityki kartelowej w Polsce, zamieścimy w następnym numerze „Epoki" artykuł o kartelach pióra prof. Edwarda Lipińskiego, dyrektora Instytutu Badania Konjunktur Gospodarczych i Cen.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Janowi Tomczakowi w Królewskiej Hucie. Odpowiadamy na list Pański, zamieszczony w poprzednim numerze „Epoki".

Żołnierz francuski, niemiecki, czy polski, umierający z ran na polach bitew Wielkiej Wojny podobnie musiał rozmyślać o losie własnych dzieci i tak samo musiał się męczyć, myśląc o ich przyszłości, jak Pan, który szukasz i nie znajdujesz słów pociechy i zachęty do życia dla dzieci swych, przeczuwając, iż lada dzień znajdą się one bez pańskiej opieki w obliczu skrajnej nędzy. Podobnie jak wówczas wiele osób twierdziło, że wojna nie skończy się nigdy, taksamo teraz otaczają Pana ludzie wyrażający równie smutne przekonanie na temat obecnego kryzysu.

Czy nigdy nie przychodziło Panu na myśl, że jest Pan jednym z wielu walczących w szeregach wojsk nowej wojny i jedną z wielu jej ofiar? W chwili obecnej około 30 miljonów bezrobotnych, rozsianych po całej ziemi, walczy zda się beznadziejnie o zapewnienie utrzymania swym rodzinom, o dach nad głową, o odzież, o zajęcie. Jeśli na tem miejscu piszemy o nędzy miljonów ludzi, podobnej do Pana nędzy, to nie dlatego, by Pana bardziej jeszcze zasmucić i rozgoryczać. Ta potężna armja 30 miljonów walczących kryje w sobie pewność zwycięstwa, a zatem powinna być dla Pana otuchą, nie zaś przyczyną nowych cierpień.

Żołnierz austrjacki czy niemiecki, walczący na frontach Wojny Światowej zapewne nie zdawał sobie sprawy dlaczego właściwie cierpi chłód i głód, zmęczenie i rany. Czy gnano go i wleczono na pewną śmierć dla pomszczenia Ferdynanda Habsburga — tego arcyksięcia miljona poległych? Czy też może dla innych, bardziej dalekich celów kazano ginąć lub zabijać żołnierzom drukich żołnierzy?

Cele dla których bezrobotni dzisiejsi cierpią i umierają, są bardziej jasne, niż podówczas.

Niechże Pan sobie wyobrazi świat, w którym wszyscy ludzie mają zapewnione ludzkie utrzymanie bez względu na to czy jeszcze nie pracują, czy już nie pracują, czy też wypoczywają po pracy. Niech Pan przez chwilę pomyśli, jak to byłoby dobrze, gdyby wszystkie dzieci mogły się uczyć w szkołach, gdyby wszyscy chorzy na gruźlicę, jak Pan, mogli pojechać w góry i leczyć się i dopiero u schyłku życia umierać, po wychowaniu dzieci, w późnej starości. Obecnie jest to możliwe dla niektórych tylko ludzi, — wówczas byłoby możliwe dla wszystkich. Walka, o której Panu pisaliśmy powyżej, a której straszliwość odczuwa Pan zapewne stokroć dotkliwiej od nas samych, toczy się właśnie o ten inny porządek na ziemi, o świat lepszy od tego, który Pan opuszcza.

Niechże Pan nie myśli z goryczą, iż dzieci pańskie tego lepszego świata nie doczekają, gdyż umrą w kilka lat po Panu i umrą albo w więzieniach lub z nędzy, zanim nadejdzie zwycięstwo, a z niem wszystko Dobro. Zwycięstwo jest może bliższe, niż spodziewamy się wszyscy.

Ktoś powiedział Panu, zapewne towarzysze zawodowi, iż burżujem jest każdy, który umysłowo się kształci. To nieprawda. Pracownik umysłowy wcale się nie różni od robotnika zarabiającego na utrzymanie pracą rąk. Kryzys obecny wykazuje to najlepiej, gdyż brata i łączy wspólną walką pod wspólnym sztandarem bezrobotnych umysłowych z fizycznymi.

Z drugiej zaś strony ci, których wspólnie „burżujami" nazywamy — są to ludzie po większej części albo wcale nie kształceni, albo kształceni źle. Burżuj, zupełnie niezależnie od tego, czy bogacz, czy też biedak, — jest to człowiek taki, który o sobie tylko myśli, którego nic nie obchodzi miljon dzieci bez nauki w Polsce, straszliwy wyzysk pracy kobiet w przemyśle całego świata, wszelka nędza innego człowieka, a także ratunek jakiego należałoby udzielić. Burżuj-robotnik, urzędnik czy kupiec pragnąłby towarzyszów pozbawić pracy, by samemu ich zarobki zagarnąć, — z nikim się nie podzielić i nie dopomóc nikomu. Podobnie, jak nie każdy robotnik fabryczny jest burżujem, tak samo nie jest burżujem każdy pracownik umysłowy. Pragniemy wyrazić Panu nasze głębokie przekonanie, iż w przyszłości, skoro dzieci pańskie wyjdą z przytułku, dokąd dostaną się, jak Pan przypuszcza po Pana spodziewanej śmierci, — znajdą już świat innym, niż jest on obecnie i będą mogły przystąpić do pracy w tej dziedzinie, jaka im najbardziej będzie odpowiadać.

Właśnie o to, o przyszłość pańskich dzieci, o lepszą przyszłość następnych pokoleń toczy się walka. Rażony chorobą i nędzą ustępuje Pan z pola, — a Pana odejście jest conajmniej taksamo zaszczytne i bohaterskie, jak śmierć żołnierza na polu bitwy. Niechże jednak, odchodząc, zachowa Pan w pamięci tę wielką prawdę, która może w ostatniej chwili życia pokrzepi Pana, — a mianowicie, że po pańskiej śmierci trzydzieści miljonów bezrobotnych pracowników fizycznych i umysłowych walczy jeszcze o lepszą przyszłość świata.

Panu K. M. w Częstochowie. Poruszymy i tę sprawę.

Pani Z. W. w Bydgoszczy. Artykuł zbyt nerwowy. Właśnie powaga zagadnienia wymaga słowa poważnego. Można „wstrząsnąć sumieniami" bez okrzyków, które wypadły zdawkowo. Prosimy o dalsze próby.

Panu Bolesławowi K. w Gdyni. Nie zwalczamy stronnictw politycznych, jako takich. Byłoby to niedorzeczne. Społeczeństwo musi świadomie organizować swoje życie polityczne. Trzeba jednak zwalczać wszelkie wypaczenia myśli partyjnej, jednostronność sądu, ciasnotę pojęć, zacietrzewione doktrynerstwo.

Panu Mieczysławowi Gipsowi w Kępnie. Dziękujemy za życzenia.

Panu Janowi Kozłowskiemu w Katowicach. Już Bolesław Prus powiedział: „Kepler tyle wart, co Szekspir". Entuzjazm dla nauki nie powinien prowadzić do lekceważenia literatury.

Panu J. M. w Łodzi. Sport — rzecz dobra i piękna, ale mamy tu dziś do czynienia z niemądrą i szkodliwą przesadą, która prowadzi do przeceniania muskułów — kosztem ducha i umysłu.

Pani Helenie Z. w Dąbrowie Górniczej. Natura ludzka nie zmienia się tak prędko, jak ustroje polityczne. Szkic niezły, ale za mało rzeczowy. Nie chcemy dawać czytelnikom ogólników. Więcej faktów i dokumentów. Prosimy o dalsze rękopisy.

Panu J. L. w Warszawie. Nie możemy zamieszczać rzeczy zbyt popularnych. Sprawa poruszona przez Pana, napewno żadnych już wątpliwości nie budzi wśród tych czytelników, dla których przeznaczona jest „Epoka". Trzeba się zawsze zastanowić, jak i do kogo się przemawia.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Adolf Rudnicki: Szczury. Powieść. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa 1932.

Irena Gałęzowska: Ferment snobizmu. L. Fiszer. Warszawa — Łódź — Katowice 1932.

Leon Kruczkowski: Kordjan i cham. Powieść. Gebethner i Wolff. Warszawa 1932.

Feliks Brodowski. Badmajeffowie. Medycyna Tybetu w zetknięciu z cywilizacją zachodu. F. Hoesick. Warszawa, 1932 r.

TREŚĆ NUMERU

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.650

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2654 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 5.